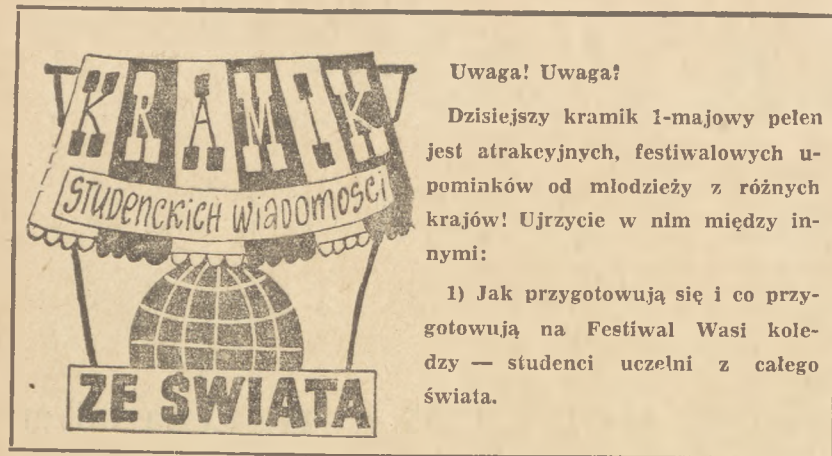




Uwaga! Uwaga!

Dzisiejszy kramik 1-majowy pełen jest atrakcyjnych, festiwalowych u-pominków od młodzieży z różnych krajów! Ujrzycie w nim między in-nymi:

1) Jak przygotowują się i co przy-gotowują na Festiwal Wasi kole-dzy — studenci uczelni z całego świata.

DLUGOFALOWOŚĆ, DALEKOWZROČNOŚĆ...

Rząd włoski asygnuje corocznie 200 mln. lirów na budownictwo szkół. A czy to wystarczy? Chcąc odpowie-dzieć na to pytanie należy rozwią-zać proste zadanie matematyczne.

„Wiadomo, że zbudowanie szkoły we Włoszech kosztuje 4 mln. lirów. Wiemy też (na podstawie rządowej statystyki), że we Włoszech brak 70

tysięcy budynków szkolnych. Za-chodzi pytanie, ile lat potrzeba na wybudowanie 70 tysięcy budynków?

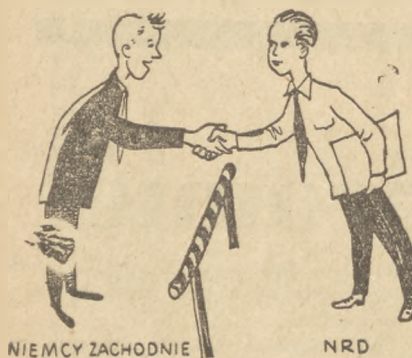
Odpowiedź: 1400 lat“.

Szkoda słów — dalekowzroczną politykę oświatową prowadzi cha-decki rząd! Spogląda w tysiącle-cia... (Is)

NIEMIECCY STUDENCI PRAGNĄ JEDNOŚCI

Związek Niemieckich Organizacji Studenckich „Verband Deutscher Studentenschaften“ zalecił nieda-wno swoim członkom unikanie wszelkich kontaktów ze studentami z NRD z obawy przed „komunisty-czną infiltracją“. Studenci Uniwer-sytetu w Freiburgu wypowiedzieli się przeciwko tej polityce i postanowi-li powołać do życia komitet, któ-ry zbadałby możliwości nawiązania kontaktów ze studentami z NRD.

W tym samym czasie studenci U-niwersytetu w Getyndze uchwalili podobną rezolucję. Ich przedsta-wiciel ma w najbliższym czasie wyje-hać do Lipska dla rozpatrzenia praktycznych możliwości takich kon-taktów.



NIEZBYT PONĘTNA PERSPEKTYWA

W jednym z College'ów stanu Can-sas wygłosił obszerną mowę do stu-dentów i profesury wiceminister o-brony USA Fred Seeton. Mówca zapewnił słuchaczy, że w nowej wojnie nie będą mięsem armatnim młodsi Amerykanie, lecz młodzież europejska.

Jak podaje prasa, Seeton powie-dział: „USA zasadniczo dostarczą w

przyszłej wojnie tylko jednostek lot-nicznych i morskich, natomiast so-jusznicy — podstawowy kontyngent wojsk lądowych“.

Nie ulega wątpliwości, że propo-zycje Seetona przypadły do gustu militarystom amerykańskim, ale czy spodobały się młodzieży sojuszni-czej? (Is)

STRACH WŚRÓD NAUCZYCIELI

Jak podaje dziennik „New York Times“ w Stanach Zjednoczo-nych zamierza się przeprowadzić ba-dania dla ustalenia w jakim stopniu profesorowie szkół średnich i wyż-szych są opanowani strachem oraz czy i w jakim stopniu strach ten hamuje ich pracę. W badaniach weźmie udział około 2 000 uczonych. Oczywiście chodzi tu o strach przed aparatem policyjno = macca-thys-owskim,



JEZUICI ATAKUJĄ

Nr 1/55 rzymskiego organu Zako-nu Jezuitów „Civil ta Cattolica“ pu-blikuje artykuł, w którym uświa-damia czytelników, że oświata jest sprawą przede wszystkim Kościoła i że (cytuujemy) „to przyrodzone prawo Kościoła dotyczy nie tylko naucza-nia religii, ale rozciąga się również na wszelkie inne dyscypliny“. Pismo wysnuwa z tego założenia wniosek, że programy i podręczniki wszystkich przedmiotów winny być wydawane pod nadzorem Kościoła, a religia winna być podstawą nauczania we wszystkich szkołach z wyższymi wła-żnie. Tak to światobliwym odczuciu-kom w erze atomu marzy się nawrót do średniowiecza. Cytowanie tego artykułku nie miało by sensu, gdy-by nie fakt, że stanowi on fragment wielkiej nagonki Kościoła na szko-ły państwowe we Włoszech,



WIADOMOŚCI FESTIWALOWE

Finlandia: Dokonano tu wyboru Narodowego Komitetu Przygotowa-wczego Festiwalu, w skład którego weszli przedstawiciele robotników, chłopów, artystów i studentów, m. in. artysta Tarnio Manni, balet-mistrz Elsa Sylvesterson, dzien-nikarz Alan Kaspo, działaczka społe-czna Majla - Liisa Laine, student Gustaw Ammel.

Indie: W Aligarh studenci uniwer-sytetu postanowili zebrać 4 000 rupii na pokrycie kosztów podróży de-legatów na Festiwal.

Nigeria: Młodzież Nigerii nie zra-zając się trudnościami pragnie być reprezentowana na Festiwalu. Dele-gaci Nigerii przywiozą ze sobą do Warszawy dzieła ludowej sztuki a-frykańskiej, rzeźby w drzewie, wy-roby ze skóry, tkaniny oraz inne eksponaty, które posłużą do urzędze-nia wystawy afrykańskiej sztuki lu-dowej.

Wielka Brytania: Delegaci Wiel-kiej Brytanii na Festiwal rozpoczęli naukę języka polskiego. Kurs zo-stał zorganizowany przez Towarzy-stwo Przyjaźni Polsko - Brytyjskiej. Młodzież Wielkiej Brytanii zorga-nizuje barwny pochod karnawało-wy, który już dokonuje pierwszych prób.

Meksykański Komitet przygoto-wuje do wyjazdu do Warszawy ze-spół pieśni i tańca. Prócz pieśni i tańców ludowych, zespół ten wy-stawi po raz pierwszy nowy balet pt. „Granica“, przedstawiający ży-cie braceros meksykańskich (wy-robników rolnych). Prócz tego mło-dzież meksykańska wysłała zespół

muzyczny oraz kilku znanych soli-stów,

W Austrii 19 i 20 marca odbyły się eliminacje artystyczne. Jury Au-striackiego Komitetu Przygotowa-wczego wybrało najlepsze trzy zespó-ły, a mianowicie: „Zespół Młodzie-ży Austriackiej“ (FÖJ), Zespół Tań-ców Ludowych „Szarotka“ (Edel-weiss) z Solbad w Tyrolu oraz „Pen-zinger Brettli“. Zespoły te przyjadą do Warszawy.

W miastach i wsiach Niemieckiej Republiki Demokratycznej młodzie-żowe zespoły taneczne, chóry, teatry amatorskie przygotowują się usilnie do eliminacji artystycznych, na któ-rych wyłonieni zostaną uczestnicy V Festiwalu.

Ze wszystkich kontynentów na-pływają do Międzynarodowego Ko-mitetu Przygotowawczego V Świato-wego Festiwalu Młodzieży i Stu-dentów o Pokój i Przyjaźń wiado-mości o przygotowaniach studentów wyższych uczelni różnych krajów do światowego spotkania młodzieży.

W Wielkiej Brytanii na znanym uniwersytecie w Cambridge ukony-stuował się Komitet Festiwalowy, do którego weszli działacze reprezen-tujący młodzież wszystkich niemal kierunków politycznych. Na Poli-technice Północnej w Islington utwo-rzona została Sekcja Festiwalowa.

Na uczelniach angielskich odby-wają się również zebrania młodzie-ży poświęcone popularyzacji Festi-walu i jego hasła oraz imprezy ar-tystyczne. Np. na uniwersytecie w Cambridge z okazji zakończenia se-mestru wyświetlany był film brytyjs-ki o IV Światowym Festiwalu w Bukareszcie. Seans filmowy z okazji przygotowań do Festiwalu warszaw-skiego zorganizowali również stu-denci hinduscy w Londynie,

W Lublinie nie byłem od 1944 roku. Wówczas przyjechałem tam w po-czątku sierpnia, w pier-wszych dniach naszej niepodległości. Pamię-tam jak ulice Lublina witały wkra-czające oddziały Armii Radzieckiej. Pamiętam pierwsze transporty ra-dzieckiego zboża, bez których nie byłoby chleba. Pamiętam, jak Am-basada ZSRR przydzielała papier na którym odbijano tekst Manife-stu PKWN i gazety.

Jakże specyficzna była atmosfera tamtych dni. Nasi ministrowie cho-dzili w jakichś półowłoskowych cu-dacznych strojach. Wówczas z Mo-skwy nadszedł podarunek — ele-ganckie granatowe dwurzędówki. Teraz od razu na ulicy poznawało się „kierownika resortu“, gdyż wszyscy oni nosili owe radzieckie prezenty. Albo sensacja dnia: na-deszły dla PKWN trzy nowiutkie ZIS-y — również radzieckie podar-unek. Ogładyły je formalnie tłumy.

Wspomnienia te odżyły, gdy kil-ka dni temu z okna lubelskiego ho-telu „Europa“ patrzyłem na tłum, który witał wychodzących z auto-karów radzieckich gości — młodzież z republik: ukraińskiej, białoruskiej i litewskiej, przybyłych na spotka-nie z młodzieżą polską z granicz-nych województw.

Spotkanie zbiegało się z datą dziesiątej rocznicy podpisania ukła-du przyjaźni ZSRR i Polski.

Kulminacyjnym punktem lubel-skiej imprezy był wiec z udziałem przedstawicieli trzech radzieckich republik oraz reprezentacyjnych delegacji młodzieży województwa lubelskiego, białostockiego i ol-sztyńskiego.

W przemówieniach wiele mówiło się o przyjaźni naszych krajów. Gdy rozważamy przyjaźń Polski i ZSRR, zwykliśmy mówić o wyzwoleniu, pomocy i przykładzie. Oczywiście i w tym wypadku te akcenty domi-

JERZY URBAN

Dziennikarskie notatki z lubelskiego spotkania



Uczestnicy spotkania wymieniają autografy.

nowały, stanowiły treść przemó-wień, rozmów i toastów, nadawały ton całemu spotkaniu. Był jednak w lubelskiej imprezie jeszcze jeden moment, o którym często-roc zapo-minamy. Chodzi o szczególnie ser-deczne więzy, jakie nas łączą z trzema spośród narodów Kraju Rad — z naszymi bezpośrednimi sąsia-dami z Ukrainy, Białorusi i Litwy.

Choćby nawet w czasie występów artystycznych, gdy na estradzie pro-dukowali się goście — wyczuwało się jak ogromnie bliska jest nam kultura, pieśni, taniec i język tych narodów.

Było to spotkanie sąsiadów, któ-rych dzieli tylko bardzo wąska miedza.

Zwiedzaliśmy miasto. My — to znaczy goście z ZSRR i cały tłum lublinian. Pogoda sprzyjała. Korzy-stali z niej operatorzy kroniki i li-czni fotoreporterzy. Każdego go-

ścia otaczał tłum Polaków. Jakaś kobiecina nie odstępowała ukraiń-skiej kołchoźnicy pokazując jej li-sty jakie otrzymuje od przyjaciół ze Związku Radzieckiego. Tancerza z Kijowa obstała chmara dziecia-ków — rozdawał on pionierskie znaczki.

Wiesław Lipowski — student UMCS był wyraźnie wściekły. Poznał właśnie śliczną studentkę miń-skiego konserwatorium Eugenie Cwetajewa, chciał oprowadzić ją po mieście, ale co chwile tłum mło-dzieży oddzielał go od dziewczyny. Cwetajewa rozdawała widokówki — zdjęcia z Mińska, zaś amatorów było tak wielu, że nie mogła się ruszyć z miejsca. Coraz to zostawa-ła daleko w tyle za całą grupą swych rodaków i gdy z trudem wy-dostawała się z otaczającego ją kręgu — musiała biegiem ich do-ganiać.

Na Starym Mieście, przewodnik, niemiłosiernie kalecząc język ro-

syjski, opowiadał dzieje Lublina: tu mieszkał Kochanowski, tu tworzył Kraszewski, a tu według podania odbywał się diabelski sąd. Gdy przewodnik wskazał na kościół objaśniając, że w nim to niegdyś podpisano unię Polski z Litwą — wszyscy mimo woli spojrzeli na se-kretarza KC Komсомоłu Litwy.

Dziwny urok miała tu lekcja hi-storii na świeżym powietrzu. I mo-że właśnie dlatego, że czuło się hi-storyczność dnia dzisiejszego

Wracaliśmy do hotelu. Przed wejściem do „Europy“ milicjanci, z poświęceniem, własnymi piersia-mi odpierali naciśnięcie tłumy, który chciał wejść do środka nie mogąc się rozstać z nowymi przyjaciółmi.

Pierwszego dnia pobytu w Lubli-nie, po kolacji, o której wspomina-łem, goście udali się do Domu Wojs-ka na wieczór artystyczny zorga-nizowany przez młodzież Lublina.

Występy zaczęły się o 9 — a skończyły po dwunastej. Organiza-torzy zapomnieli o różnicy między czasem moskiewskim a środkowo-europejskim. O naszej 12 zegarki goście wskazywały godz. 2 w nocy. Poszli więc spać — według nich — nad ranem.

W ciągu następnych dni z nad-miaru gościnności — również nie oszczędzano gości. Wiece, spotkania, przyjęcia, przemówienia, występy trwały od rana do późna wieczór. Nie chodzi tu tylko o zmęczenie go-ści. Mankament takiej organizacji spotkania polega i na tym, że nad-miar oficjalnych zajęć nie pozostawia czasu na te prywatne spotka-nia, dyskusje i zawieranie znajo-mości, na to wszystko, co — kto wie — czy nie jest ważniejsze od oficjalnych przemówień.

I dlatego w dziennikarskich no-tatkach z lubelskiego spotkania, nie mogąc oddać w pełni jego atmo-sfery, choć okrucy jej starałem się uchwycić.

KOSTAS GEORGIADIS

W ojczyźnie Belojannisa

(Korespondencja własna)

Na greckiej wyspie Ais Stra-tis przebywa już od lat, około tysiąc patriotów. Nie-dawno w ich imieniu wy-stosował apel do całego świata wybitny literat grecki, również znajdujący się na owej wyspie, Temos Kornaros. Zesłańcy znajdują się w najgorszych warun-kach bytowych, skazani w istocie na powolne umieranie. Kornaros ironi-cznie wspomina oświadczenie rządu Papagosa mówiące o tym, iż wszyscy internowani patriotci są dobrowol-nymi zesłańcami, którzy — skoro wyrzekną się swych przekonań poli-

stał proces za opublikowanie powie-sci poświęconej walce o godność człowieka i o pokój pt. „Zapłakane dni“, której kilkutyśieczny nakład w ciągu trzech dni znikł z półek księgarskich.

W Grecji prześladowani są nie tylko pisarze - komuniści. Prześladowany jest każdy pisarz - patriota. Charakterystyczne pod tym wzglę-dem jest wyklepie przez kościół prawosławny książki wybitnego sty-

nium ulicy, przy której znajduje się domek jego rodziców. Uchwala ta została przyjęta przez cały kraj entuzjastycznie, a przeciw wszelkie-mu prześladowaniu wolnej myśli skierowano wiele protestów.

Ograniczanie twórczej pracy ta-kich pisarzy jak Kazandakis jest częścią walki przeciwko kulturze w ogóle. Bezwzględna i brutalna jest ta w istocie antynarodowa akcja dzisiejszych władców Grecji. S-wiad-czy o tym fakt, że koła rządzące nie dopuściły nawet do oficjalnych ob-chodów 2400 rocznicy urodzin wiel-kiego komediopisarza greckiego Ary-stofanesa, rocznicy obchodzonej u-roczyście przez cały świat z wyjąt-kiem rodzinnego kraju pisarza. Prze-straszyła ich humanistyczna i poko-jowa treść jego utworów.

Nosicielem najlepszych tradycji Grecji jest postępowy myśl kraju. Demokraci greccy nawiązują do kla-sycznej kultury swej ojczyzny. Przykładem tego — ostatnia monu-mentalna praca o Epikurze, której autorem jest prof. Teodoridis, po-zbawiony katedry na Uniwersytecie w Salonikach za demokratyczne przekonania.

W okupowanej przez Ameryka-nów Grecji tworzy się na wzór mac-carthystów indeks zakazanych ksią-żek. W grudniu 1953 r. skonsfisko-wana została praca Stalina „Ekono-miczne problemy socjalizmu w ZSRR“, a jej tłumacz Pangalos ska-zany został na wygnanie. Jednocze-snie skonsfiskowano poemat Tasosa Livaditisa „Wiatry na rozdrożu świata“, a poeta również został ze-słany. Ten natchniony poemat, o-słaniany tłumaczony we Francji, jest wyrazem sprzeciwu poety wobec wrogów ludzkości, sprawców biedy i nieszczęść mas, sprawców wojen, a równocześnie wyznaniem wiary w nowy, pokojowy i szczęśliwy świat.

Konsfiskowano przekłady greckie dzieł Mao Tse - tunga, Erenburga, Tichonowa, Fasta. Lecz na tym ka-talog się nie kończy. Obejmuje on



Patriotyczna manifestacja greckich studentów. Na transparencie napis — „Hańba Amerykanom“

tycznych — mogą powrócić do do-mu.

„Jest prawdą — pisze Kornaros — że w każdej chwili możemy opuścić ten kamienistą wysepkę Morza Egejskiego. Kto chce weźmie swoje rzeczy i wróci do domu, ale odtąd każ-dy krok jego powrotu będzie profa-nowaniem nie pochowanych towar-zyznych, poległych w walkach narodu o niepodległość. Taki powrót o-znacza rezygnację z naszych marzeń o wolnym i godnym życiu na-szego narodu“.

Patrioci greccy znajdują się na wygnaniu dlatego, że walczą o to, aby naród, a nie okupanci amery-kańscy, stanowią o swoim losie i bo-gactwach. „Dlatego — mówi Kor-naros — trzymajmy nas tutaj nagieli, bez butów, głodnych i chorych, bez dachu nad głową i pokrytych ranami. A nasze rodziny znajdują się w jeszcze gorszym położeniu, bez pra-wa do pracy, bowiem nie chcą wy-rzec się nas i zapomnieć“. Najlepsi przedstawiciele inteligencji: Lude-mis, Fotiadis, Ritsos, Papaperiklis, Livaditis i inni, którzy oddali swój talent w służbę narodu, poznali więzienie i obozy koncentracyjne. Ciężko choremu Menelaosowi Lu-demisowi — nagrodzonemu złotym medalem w 1951 r. przez Kongres Pen Clubu w Paryżu — znajdują-cemu się na zesłaniu, wytoczony zo-

listy greckiego, Nikosa Kazandza-kisa pt. „Kapitan Michalis“, wy-drukowanej jesienią 1953 r. W twórczości Kazandzakisa nie brak mistycyzmu i nawet mitscheizmu. Wspomniana wyżej powieść, mimo ideologicznej słabości i brutalnych naturalistycznych obrazków, oparta na historii powstania kretańskiego w 1879 r. przeciw okupacji tureckiej, jest pełna pasji i patriotyzmu. Główny bohater powieści kapitan Mi-chalis ginie w walce o niepodległość. Pisarz pokazuje, jak zaprzepaszcze-nie sprawy powstania przez uzależ-nione od Anglików państwo greckie doprowadziło do klęski powstańców, jak lud Krety pała nienawiścią do pomagających sultanowi mocarstw zachodnich, a szczególnie do Angli-ków. Jest oczywiste, że taka idea książki musiała wywołać lęk i nie-pokój serwilistycznej reakcji greckiej, co znalazło znamienny wyraz w wyklepie powieści przez prawos-ławność cenzurę.

Zakaz książki Kazandzakisa wy-wołał skutki nieoczekiwane przez oprawców. Naród zaprotestował przeciw tej decyzji. Literaci i zwią-zki twórcze potraktowały ten fakt jako przejaw średnio-wiecznego ob-skurantyzmu. Ukoronowaniem pro-testu narodu greckiego była uchwa-ła Rady Miejskiej rodzinnego mia-sta pisarza o nazwaniu jego imie-

Hugo, Balzaca i Dostojewskiego, a nawet Bocaccia. Skonsfiskowano książkę Hugo „Durant l'exile“, gdzie wielki pisarz francuski oskarża przed całym światem tyranię Napo-leona III i słaui wygnańca, który siły do życia czerpie z miłości dla narodu. Tłumaczy dzieł Wiktora Hugo także zesłano na wyspy Mo-rza Egejskiego. Jako wyrotną skonsfiskowano książkę Balzaca „Ja-szczur“, a jej tłumacz znajduje się na wygnaniu. Konfiskacie uległa również powieść Dostojewskiego „Głód“.

Mimo represji walka narodu gre-ckiego o wolność myśli przynosi sukcesy. Wyższy Sąd w Atenach musiał uniewinnić twórcę poematu „Wiatry na rozdrożu świata“ Li-vaditisa oraz tłumacza „Ekonomicz-nych problemów socjalizmu w ZSRR“ Pangalosa. Livaditis w swo-im przemówieniu przed sądem oś-wiadczył: „Ambicją moją było, że-by oskarżony poemat stał się włas-nością wszystkich ludzi na świecie, a nie był ograniczony czasem i prze-strzeżeniem. Starałem się pokazać o-krucieństwa i nieszczęścia jakie przynosi ze sobą wojna. Starałem się pokazać dramatyczne doświad-czenie ostatnich dwóch wojen świa-towych“. Livaditis skończył swoje przemówienie mówiąc: „Moje su-mienie twórcy jest spokojne, bo-wiem wypełniłem swój obowiązek jako obrońca pokoju“.

Naród grecki rozumie, że tylko walką może powstrzymać faszyza-cję kraju i zdobyć swobody demo-kratyczne. Dlatego wznaga i jed-noczy wysiłki w walce o przywró-cenie wolności wszystkim twórcom kultury i nauki — obrońcom poko-ju, niepodległości narodowej i ludz-kiej godności. Jest on pewny, że w tej walce popiera go cała postępo-wa ludzkość,

APEL

Studenci III roku wydziału architektury Politechniki Gdańskiej w ramach czynu przedfestiwalowego zobowiązuja się do 100-procentowego udziału w akcji żniwno-omłotowej w miesiącu lipcu.

Studenci III roku wydziału architektury wzywają do współzawodnictwa studentów wszystkich lat, wydziałów i uczelni w Polsce.

ZARZĄD KOŁA ZMP
PRZY III ROKU ARCHITEKTURY
POLITECHNIKI GDAŃSKIEJ

NA PIEC TEMATOW

Dom

Male miasto powiatowe R., w którym mój przyjaciel Marek (rusycysta, absolwent UW) jest wicedyrektorem szkoły — zostało w wielkiej mierze zniszczone przez wojnę. Jeszcze dziś na niektórych uliczkach — zwłaszcza wieczorami — czuć spaleniznę, co mi przypomina Warszawę sprzed dziesięciu lat.

Marek ma pokój przy rodzinie, w domu na krańcu miasta. Byłby zadowolony ze swego cichego mieszkanka, gdyby nie — miłość. Myślę, że wiecie co się dzieje w małym mieście, kiedy młoda nauczycielka odwiedza w prywatnym mieszkaniu młodego nauczyciela, a tym bardziej, kiedy dzieje się na odwrót. Narzeczeństwo Marka sprowadza się więc do randek z Anicetą... w szkole i wspólnego odwiedzania kina raz na tydzień.

Kłopoty Marka i Anicety związane z brakiem własnych mieszkań są niczym w porównaniu z sytuacją mieszkaniową innych absolwentów, którzy dostali przydział pracy w R. — pracowników powiatowego sądu, szpitala etc, a także w porównaniu z „zagnieżdżeniem mieszkaniowym” pracowników Zarządu Powiatowego ZMP.

Miałem z Markiem taką rozmowę: Ja: Słuchaj! Zbudujcie sobie dom. On: Jak to „zbudujcie”?

Ja: No, wy — młodzi absolwenci (pewno się nawet ze sobą nie znacie...), a możecie od tego wciągnąć towarzyszy z aparatu zetempowskiego.

On: Przedsięwzięcie wydaje ci się takie łatwe. Ale kto się na to zgodzi?

Ja: Zbudowanie domu wcale nie wydaje mi się „takie łatwe”, ale nie widzę zasadniczych, kompletnie negatywnych przeszkód. Miejsca jest aż nadto. Wystarczy wziąć pod uwagę którykolwiek plac po wypalonym domu. Cegły są — dwie cegielnie na miejscu w R..

On: No, można bruć cegły ze zniszczonych domów.

Ja: Właśnie! Robociznę możecie w dużej części dać sami. Idzie wios-

na, lato. Jak się weźmiecie do pracy, a każdy da dwie — trzy godziny dziennie pracy pod kierunkiem fachowca...

On: Ludzisz się, że ludzie będą chcieli pracować. Teraz młodzi lubią tylko do gotowego przychodzić...

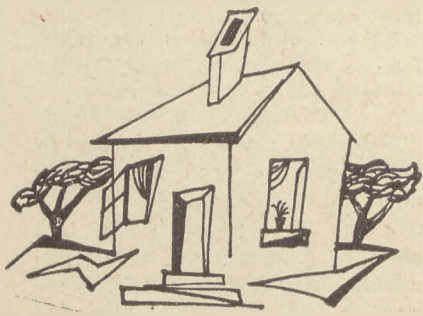
Ja: Przecież nie agitowałeś, więc skąd pewność?

On: Kto się na to zgodzi? Kto zatwierdzi, podpisze, da do roboty plany? Czyżbyś nie wiedział co to jest biurokracja?

Ja: Marku! Jesteś przewodniczącym komisji oświaty w Miejskiej Radzie Narodowej, jesteś radnym, z którym się ludzie liczą. Któż jak nie ty ma możliwości i szanse sukcesu? Zresztą, sądząc, że jeden twój wyjazd do Warszawy i jedna interwencja mogłaby usunąć te najcięższe kłody. Czy doprawdy jest u nas w kraju instytucja, która przeciwstawiała się poważnie młodym chcącym budować?

On: To tak się mówi...

Ja: Słuchaj Marek! Weź się za to. Będziecie może pierwszą w Polsce taką grupą absolwentów. Będziecie, bracie, pionierem! Skończą się kłopoty z Anicetą...



On: (śmieje się): Masz wprawę w agitacji.

Potem zaczęliśmy mówić o czym innym. Ale sprawa DOMU nie wychodzi mi z pamięci. Myślę, że jest to w równej mierze sprawa ENERGI, ODWAGI, INICJATYWY. Ile domów moglibyśmy wybudować nad plan...

Poza

Wracając z R. do Warszawy (pociąg pośpieszny Olsztyn — Warszawa) miałem za współpasażerów w przedziale m. in. dwójce studentów z kortowskiej WSR oraz siedząc-go przy oknie jegomoscia w „szpakowatym wieku”.

Dziewczyna i chłopiec (mający się najwyraźniej ku sobie) zjadali byczki z sosem pomidorowym. Jegomosc nudzący się lub będący może z tych co to „lubią pogawędzić z naszą młodzieżą”, wyciągał — zwłaszcza dziewczynę — na pogawki,



Jegomosc ten był, jak zorientowałem się z typu humoru, treści wypowiedzi itd. ponurym drobniuszczuchem, typowym sklepikarzem. Drwił z „dzisiejszych czasów”, robił głupie aluzje do wyższości lat dawnych, zgrywał się.

Czasem pytał poważniej: Ile to lat was uczył?

Dziewczyna: — Teraz cztery, ale podobno mają przedłużyć do pięciu. Jegomosc wyraża zdziwienie.

Dziewczyna: Tak, chcą z nas chyba uczonych porobić...

Brzmi to jak najbardziej ironicznie, a forma bezosobowa („oni” — niby mityczna władza ludowa) jest specjalnie akcentowana.

Jegomosc indaguje dalej: I co potem? Będziecie pan inżynierem? Dziewczyna: Właśnie! Piękne perspektywy, co? Żeby tylko nie wyszli do jakiegś dziury.

Znow ironia i jakby głucha niechęć wobec „nich”, którzy dają dziewczynie wszystko: stypendium, dom, bezpłatną naukę. Myślicie, że dziewczyna była wrogiem? Że wywodzi się z obcego klasowo środowiska?

Na któreś stacji jegomosc się wyniósł, a ja — przewycieczając niechęć do tej „cynicznej” pary — zacząłem z nimi rozmowę, która stała się coraz serdeczniejsza i trwała parę godzin.

Krótko mówiąc, dziewczyna jest zetempówką, dobrą studentką. Interesuje ją wybrany fach; uważa, że przedłużenie studiów lepiej ją przygotowuje do pracy. Jedzie na ferie świąteczne w Kielecczyznę, do rodziny na wieś; chłopiec mieszka nie daleko, razem kończyli szkołę w kieleckim miasteczku. Dwójce zwykłych studentów, którym rodziny mogły opowiedzieć coś niecoś o dawnej nędzy, o możliwościach studiów dla dzieci chłopskich w kapitalistycznym kraju.

Skąd więc to „drugie oblicze” w rozmowie z drobniuszczuchem? Skąd ta obcość wobec władzy ludowej? Udawanie, że się nie rozumie, iż władza ludowa to m. in. także ja — inżynier rolny?

Ponura, wstrętne poza, którą często niestety można spotkać. Młodzi ludzie typu opisanego dziewczyny lekają się, że starszy rozmówca (naj-

częściej głupi, drobniuszczuch) może ich potraktować jako „idealistów”, „mających złudzenia”, „kupionych”... Ponure, wstrętne uleganie czyjemuś głupiemu cynizmowi, czyjeś wrogości.

Nie zawsze ów starszy rozmówca musi być wrogiem politycznym. Często jest to po prostu człowiek, któremu żal zmarnowanego życia, który własną słabość i brak decyzji w odpowiednim czasie (decyzji czynnego udziału w życiu) — odbija sobie urąganiem naszej władzy. Urąga, a

jeszcze nie potrafi, lub nie chce pojąć, że władza ludowa każdemu z Lohojskich *) daje nową szansę.

I takim ludziom (czasem nawet młodym) — śliniącym się w niechęci, wyszukującym w każdym zdarzeniu samo tylko zło, mamy ulegać MY? Mamy się przed nimi zgrywać, mamy przed nimi pozować na obojętność, na cynizm?

To wstrętne.

*) Lohojski — Bohater opowiadania M. Dąbrowskiej pt. „Trzecia jesień”.

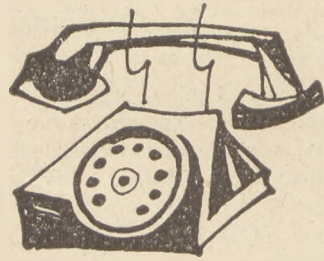
Niepewność

Słyszałem taką anegdotkę: Pewien towarzysz z Zarządu Wydziałowego ZMP był na zebraniu jednego z kół. Na tym zebraniu jakiś student wygłosił wrogie, perfidne przemówienie atakujące zasadnicze posunięcia Partii. Towarzysz z ZW nie zabrał głosu, ale zaraz po zebraniu zadzwonił do ZD. Opowiedziałszy treść tamtego wystąpienia, oświadczył:

— Nic nie mówiłem, bo teraz po II Zjeździe wolno podobno w s y s t e m o m o w i ć, a nie wolno „gasić” dyskusji.

Smutna to anegdota, a jeszcze smutniejsza wypowiedź pewnego mojego kolegi — aktywisty ZMP: „Teraz po II Zjeździe, w ZMP jest taki front narodowy, że właściwie ostrej pracy światopoglądowej nie można chyba prowadzić”. Ciagle też dochodzą z terenu wieści, że aktywi i instancje czekają na inicjatywę rzesz młodzieży.

Niepewność, jaka ostatnio opanowała część aktywu, jest chyba prostym wyrazem tego, że nie wszyscy pojęli dokładnie sens II Zjazdu. Wielu towarzyszącom się zdaje, że ZMP jest niby sieć zarzucona na młodzież, aby ją wylowić i zmobilizować. Zupełnie tak, jakby tendencja do zrzeszania się, do życia kolektywnego nie była u młodzieży najbardziej NATURALNYM odruchem. I jakby Związku Młodzieży Polskiej nie stworzył w swoim czasie sami młodzi — aby w swej organizacji pomagać budować socjalizm, realizować konkretne, polityczne cele. I t a p o l i t y c z n o ś ć ZMP nie skończyła się na II Zjeź-



w nowym statucie. A przywódcy, aktywi? Czyż nie jest jasne, że kolektywny organizacyjny wysuwa swych kierowników (co wynika ex definitione) i że wysuwa najlepszych, najmyślniejszych — po to, by kierowali, inicjowali, a nie CZEKAŁI.

II Zjazd powiedział chyba „tylko” tyle, że młodzież zetempowska rozwinięła się, dojrzała znacznie przez ostatnie lata i że z tym nowym jej poziomem muszą liczyć się kierownicy, jeśli ogromne rezerwy energii i inicjatywy „oddolnej” nie mają niszczyć bezużytecznie. I że kierowników, przywódców winna wybierać i wysuwać sama młodzież, której nikt nie ma prawa — zgodnie z naturą rzeczy, a wbrew zaistniałym wypaczeniom — n a r z u c a ć przewodników.

Neosnobizm

Wrażenia, jakie odbiera człowiek słuchając muzyki, mogą być pasjonującym tematem sporów psychologicznych, jedno jest pewne: że

wrażenia te są niesłychanie różnorodne i odmienne u każdego człowieka, że jeśli nawet zna się ktoś doskonale na technicznej stronie utworstwa, to i tak indywidualność pianisty daje jednemu takie, a drugiemu inne wrażenia. Rzecz — jak byśmy mogli zaryzykować — „gustu”.



Mało jest u nas ludzi znających się na muzyce poważnej poważnie, a ileż to nagle — podczas Konkursu Chopinowskiego — znalazło się mędrców (w pewnych, zresztą raczej inteligenckich środowiskach), którzy z żenującą pewnością siebie ferowali ostateczne wyroki.

treści i wyparła Chopina garderoba królowej, samopoczucie damy dworu, wrażenia towarzyszącego królowej Iwaszkiewicz — oraz oczywiście nowe ploty i anegdoty, których streszczeniem się tu nie zajmę.

Pewno, że tych „miłośników Chopina” nie jest zbyt wielu, a o wiele więcej jest prostych i skromnych słuchaczy. Ale pisząc to myślę, że i wśród czytelników niniejszego znajdzie się gronko, które może nie weźmie tych słów do siebie, lecz — weźmie, czy nie — fakt pozostanie faktem.

Asia

Ponieważ byłem we Wrocławiu, zdecydowałem wstąpić do T. — odległej o sześćdziesiąt minut drogi pękaniem. Nie widzieliśmy się bowiem przeszło 2 lata z Reginą. Wówczas — studentką ostatniego kursu Akademii Medycznej. Regina osiadła po zdobyciu dyplomu w T. — uroczym podobno mieście powiatowym wrocławskiego województwa.

Doktor Regina nieraz zapraszała mnie w listach. Wymienialiśmy rzadką, lecz stałą i szczerą korespondencję, jako że żał tracić dobrze wspomnianą znajomość.

Skorzystałem z pobytu w Wrocławiu i odwiedziłem Reginę. Przywitała mnie serdecznie, jak witała dawniej. Nie zmieniła się prawie, nie postarzała. Bardzo mnie ucieszyły jej oczy — długo niewidziane — koloru dojrzałych oliwek, jej gładko upięte pszeniczne włosy i głos, którego gdybym nie słyszał rok jeszcze — zapomniałbym.

Jako specjalistka — pediatra — Regina została lekarzem — ordynatorem zakładu rehabilitacyjnego dla dzieci porażonych skutkami strasznej choroby Heine-Medina. Aby poświęcić się takiej pracy trzeba mieć co najmniej zamiłowanie.

W swoim gabinecie „pani doktor” opatulona szczerze białym płaszczem lekarskim opowiada mi od kilku godzin o dzieciach, o problematyce rehabilitacji, o blaskach i cieniach jej ostatnich dwu lat.

Wreszcie Regina mówi:

— No widzisz jaka jestem! Nie daję ci ciekawo do słowa, a przecież takam ciekawa co u ciebie... Nie dziw się. Moje życie — to tylko to co najbliższe, dookoła...

Spojrzeniem wyraziłem, że „tylko” znaczy naprawdę: „bardzo wiele”. Regina mówi więc dalej:

— Dzieją się tu rzeczy, którym nawet serce nie umie czasem sprostać. Opowiem ci... W pierwszą niedzielę każdego miesiąca przyjeżdżają do moich dzieci rodzice. Starsze dzieci — te po trzy, cztery latka jakimi cudownym instynktem obliczają czas i na taką pierwszą niedzielę czekają do utraty tchu. Rodzice przywożą zabawki, słodycze z wielkich miejskich sklepów... Wielkie wydarzenie w życiu zakładu.

Mam u siebie takiego pędraka, dwa i pół latka, imieniem Asia. Ojciec rodzice Asi mieszkają daleko, w Białostoku. Ludzie niebogatą, mogą przyjechać tu raz na kwartał, nawet rzadziej. Pewnej „odwiedziny” niedzieli, wieczorem, kiedy goście już odjechali, zasłama na salę, w której leży Asia. Jej rodziców nie było tego dnia.

Dzieciaki wołają do mnie z wszystkich łóżek:

— Pani doktor! Ja dostałem miasa!

— Pani doktor! Mnie mama dała klocki!

I tak każde mi coś pokazuje, woła, krzyczy, tylko Asia — najmłodsza w tej sali pacjentka — milczy biedactwo.

Aż nagle, wyobraź sobie, woła mnie i ona do łóżeczka. Podchodzę, a Asia mówi przez łezki:

— Płoszę pani doktór! A m i o d z y c e p s y w i e ż ł t e k o l a d e ...

— Przywieźli ci czekoladę, Asiu? — Psywieżli,

Czyżbym był świętoszkiem, którego nie poza samą muzyką nie interesowało? Oczywiście, że nie. Chodzi mi jednak o proporcję, o jakąś miarę. Mam niestety znajomych, którzy tak tę miarę przekraczali, że nie wierzę im, po prostu nie wierzę, jakoby w ogóle rozumieli, odczuwali i kochali Chopina.

Ostatecznie wybór nie taki trudny: Chopin czy punkty Ringelsena? Chopin czy wielki mistrz kłolowej?

Nazbyt odczułem niedawno fałs neosnobizmu, abym — bez wzięcia na konsekwencje towarzyskie — miał nie wypisać swojej złości.

I pędrak przytulił się do poduszki, ale ani jedna łza po policzku nie pociekła.

Regina zamyśliła się głęboko. Wreszcie powiedziała:

— No chodź! Pójdziemy na oddział, zobaczysz dzieci, pokażę ci Asię.

Ubrała mnie w biały płaszcz — strój lekarzy i ministrantów — przykazała dobrze umyć ręce i poszliśmy „na oddział”. W jednej sali, już pod koniec obchodu Regina wskazywała mi maleńką, śliczną jak dzieci z włoskich filmów De Sica, dziewczynkę.

— To jest Asia.

Asia leżała już w łóżeczku (był wieczór) i na koldrę wyłożyła obie rączki, gole aż po krótkie rękawy koszuliny. Jedną rączką, prawą, leżała bezwładnie, cieniśza od drugiej i bledsza — dotknęła paraliżem.

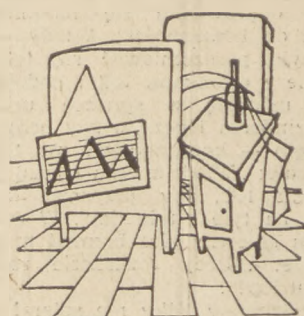
Asia rozmawiała z nami śmiało, ale oczęta kleiły jej się do snu. W pewnej chwili weszła na salę pielęgniarka, „siostra przełożona” — starsza, siwa na skroniach kobieta o dobrym, uczciwym spojrzeniu.

— Wiesz — powiedziała do mnie Regina — skoro jest siostra Marv-sia, to ja cię zostawię z nią na chwilę, a sama wróć jeszcze tam gdzieśmy byli, „przepisać” coś jednemu pacjentowi... Ma gorączkę... I Regina wyszła. Zwróciłem się znów do Asi, ale mała spała już radośnie.

— To pan jest znajomym pani doktor? — zaczęła ze mną siostra przełożona cichą rozmowę.

Kiedy potwierdziłem, pielęgniarka powiedziała:

— Pani doktor to jest złote serce. Aż dziwne jak u takiej młodej



może być t a k i e serce. Pan wie, co ona kiedyś zrobiła z tą małutką, z Asią?

— Nie, siostró, nie wiem.

Czułem, że będzie to tamta opowieść, ale czułem też, że siostra powie mi więcej niż Regina.

Do momentu kiedy Asia powiedziała: „Psywieżli!” — było to samo, a później było tak:

— „Więc jak mała zasnęła, to pani doktor jeszcze tego wieczora wyszła na miasto, kupiła czekoladę i polozyla Asi przy łóżeczku.

Rano budzę Asię do śniadania, małutka zobaczyła czekoladę, roześmiała się i mówi do mnie:

— Płoszę siostry! M i o d z y c e n a p l a w d e p s y w i e ż ł t e k o l a d e ...

Zdziwiłem się, bo siostra Marysia miała łzy w oczach.

Właśnie wróciła Regina. Badawczo spojrzęła na mnie i na pielęgniarkę, potem spytała:

— Co się stało?

— Nic, Ninko. Siostra Marysia mówiła mi o Asi... No, chodźmy, pani doktor! Wszystkie dzieci zasnęły...

Dziś 11 zdjęć konkursu na najładniejszy uśmiech studentki

Zachowaj ten numer, bowiem po opublikowaniu nadesłanych zdjęć w czerwcu br. POPROSTU przeprowadzi wśród wszystkich czytelników specjalny plebiscyt i wtedy odpowiesz, który uśmiech najbardziej ci się podobał (udział w plebiscycie będzie również szansą do zdobycia nagrody).

Przypominamy: zdjęcia uśmiechniętych studentek nadsyłać same studentki oraz ich najbliżsi — w kwietniu i maju br. Koleżankom, które czytelnicy uznają za najładniej uśmiechające się — zostaną przyznane liczne i cenne nagrody; wykaz ich ogłosziliśmy w 15 numerze. Nazwiska opublikujemy tylko za zgodą laureatek.

Pamiętaj! Jedyną gwarancją utrzymania każdego numeru POPROSTU (a zwłaszcza ze zdjęciami konkursowymi) jest prenumerata pociągowa! Do 10 maja możesz jeszcze zaprenumerować POPROSTU na miesiąc czerwień!



Zdjęcie konkursowe nr 6



Zdjęcie konkursowe nr 7



Zdjęcie konkursowe nr 8



Zdjęcie konkursowe nr 9



Zdjęcie konkursowe nr 10

WSPOMNIENIA O LENINIE

Było to wkrótce po przyjeździe Lenina z Piotrogradu do Moskwy (w 1918 r. — red.) gdy zamieszkał on na Kremlu. Posturek w korytarzu wiodącym do mieszkania Włodzimierza Iljicza był obsadzony przez słuchaczy szkoły Wszechrosyjskiego Centralnego Komitetu Wykonawczego. Rozkaz brzmiał: nie wpuszczać nikogo bez przepustki do mieszkania Lenina.

I oto kiedyś Włodzimierz Iljicz poszedł do swego gabinetu bez stałej przepustki, którą zostawił w domu. Potrzebował czegoś z mieszkania i wobec tego udał się do siebie. Podeszedł do dyżurującego słuchacza, który zapytał go o przepustkę. Włodzimierz Iljicz wskazał na drzwi i powiedział: „Przecież to są drzwi od mego mieszkania...”. Dyżurny odpowiedział: „Nie wiem. Mam rozkaz komendanta: nikogo nie wpuszczać bez przepustki”.

Włodzimierz Iljicz obrócił się, poszedł do komendatury, wziął jednorazową przepustkę i udał się do domu.

Gdy skończyło się trwające dobowe wartowanie, dyżurny stanął przed komendantem i zameldował mu o incydencie z człowiekiem bez przepustki. Ten już znał sprawę. Po wysłuchaniu meldunku zapytał:

— A wiesz kogo nie przepuściłeś?

— Nie wiem.

— Przewodniczącego Rady Komisarzy Ludowych — Lenina.

Słuchacz chwycił się za głowę i pobiegł z przeprosinami do Włodzimierza Iljicza.

Włodzimierz Iljicz powiedział jednak: „Nie masz czego przepraszać. Zarządzenie, czy rozkaz komendanta na terenie Kremla jest prawem, jakżeż więc ja, Przewodniczący Rady Komisarzy Ludowych, mógłbym to prawo naruszać. Winiem byłem ja, ty miałeś słusznosc”.

*

My, bliżej znający Lenina, podziwialiśmy jego niezwykłą pracowitość. Przypominają mi się pewne przypadki z okresu 1917—1920, kiedy pracowałam w charakterze sekretarza KC partii. Nadzieja Konstantinówna*) albo Maria Iljiczyna**) przychodziły do mnie lub komunikowały telefonicznie: „Trzeba przedsięwziąć jakieś kroki. Włodzimierz Iljicz doprowadził się nadmierną pracą do bezsenności”. Wtedy trzeba było porozumiewać się telefonicznie z członkami KC i podejmować uchwałę w sprawie urlopu Włodzimierza Iljicza, a gdy uchwałę Włodzimierz Iljicz przyjął — komunikować mu telefonicznie: „Włodzimierzu Iljicu jest uchwała KC, aby przyznać ci urlop na tyle i tyle dni”. W odpowiedzi gniewny głos brzmiał w słuchawce: „Kiedy rozkaziecie rozpocząć urlop?”.

Włodzimierz Iljicz nie spierał się, gdy zapadała odpowiednia uchwała KC. Otrzymał urlop chodząc na polowanie, zbierając grzyby, łowiąc ryby, ale w żadnym wypadku nie pracował, surowo przestrzegając uchwały KC partii.

*

Nie można pominąć również tak wspaniałej cechy charakteru Włodzimierza Iljicza, jak skromność. Przytoczę pewne fakty.

W jednej z ankiet na pytanie dotyczące znajomości języków obcych

*) N. K. Krupka — żona W. Lenina.
**) M. I. Ulianowa — siostra W. I. Lenina.



Częstym gościem Lenina w Gorkach byli robotnicy i chłopcy.

Zachowajcie Iljicza w pamięci, kochajcie go, studiujcie dzieła Iljicza, naszego nauczyciela, naszego wodza.

Walcie przeciw wrogom wewnętrznym i zewnętrznym i zwyciężajcie ich — jak Iljicz.

Budujcie nowe życie, nowy byt, nową kulturę — jak Iljicz.

Nigdy nie uchylajcie się od spraw drobnych w swej pracy, albowiem z rzeczy małych powstają wielkie — na tym polega jedno z najważniejszych przykazań Iljicza.

J. STALIN

Włodzimierz Iljicz odpowiedział: „Francuski, angielski i niemiecki — słabo. Włoski — bardzo słabo”. W rzeczywistości Lenin odpowiadał tak wyłącznie przez skromność. W r. 1920 na II Kongresie Międzynarodówki Komunistycznej Włodzimierz Iljicz przeprowadził krytykę błędów kierownictwa Komunistycznej Partii Niemiec i linii Włocha Serrati. Gdy była mowa o niemieckiej partii komunistycznej, Lenin mówił po niemiecku, a następnie, gdy przeszedł do krytyki błędów Serratego, od razu zaczął mówić po francusku. Włodzimierz Iljicz pięknie i z całkowitą swobodą mówił po niemiecku i po francusku.

*

Chciałabym przytoczyć jeszcze jeden przykład skromności W. I. Lenina. Lubił on bardzo muzykę. Matka Lenina, Maria Aleksandrowna, dobrze grała na fortepianie i dzieci stałe jej słuchały.

Kiedyś w r. 1919, czy też 1920 u A. D. Ciurupy odbył się wieczór poświęcony muzyce. Pewien pianista wykonał sonatę Beethovena „Appassionata”, którą Włodzimierz Iljicz bardzo lubił. Podeszłam do niego i zapytałam, czy zadowolony jest z wykonania. Włodzimierz Iljicz powiedział: „Czego mnie pytasie? Jakie znaczenie może mieć moja opinia? Przecież jestem tylko amatorem muzyki”.

*

Lenin przykładł dużą wagę do przyjmowania interesantów i takiego samego stosunku wymagał od każdego pracownika. Jeśli wyznaczał komuś godzinę przyjęcia, a rano dowiadywał się, że nie będzie mógł przyjąć towarzysza o wyznaczoną godzinę, wtedy telefonował do niego osobiście (a nie przez sekretarza), przepraszał i umawiał się na inny termin. Jeśli z powodu nawału prac bieżących nie mógł widzieć się z oczekującym przyjścia towarzyszem, wysyłał swego sekretarza do poczekalni, aby uprzedził go o tym. Następnie zaś sekretarz musiał ustalić, kiedy oczekujący towarzysz mógłby się zgłosić na rozmowę i zapisać jego telefon, aby Włodzimierz Iljicz mógł się z nim porozumieć telefonicznie.

Ze wspomnień

HELENY STASOWEJ

*

Jestem szczęśliwy, że już jakieś sześć lat temu, kiedy rozpowszechniane przez prasę angielską oszczerstwa o Leninie przesięgnęły nawet

potwarz rozpowszechnianą o Washingtonie w roku 1790 — w napisie, jaki umieściłem na jednej z moich książek, którą posłałem Leninowi, powitałem go wówczas jako największego męża stanu Europy... Nie wątpię, że nastąpi dzień, w którym w Londynie obok posągu Washingtona stanie posąg Lenina.

BERNARD SHAW

*

W życiu Lenina widzimy niezłomne oddanie sprawie, które siłą rzeczy wiąże się z bezwzględny traktowaniem każdego, który staje w poprzek drogi. Lenin kochał ludzi nie mniej niż swoje dzieło, dlatego też był wielki w swym tworzeniu.

HENRYK MANN

*

Osobiście nie znałem Lenina. Ale widziałem ów wyjątkowy wpływ, jaki imię jego wywierało na Rosjan. Człowiek niezwykłych zalet: serdeczny, prosty, skromny, nie wymagający dla siebie żadnych przywilejów, był dla Rosjan, dla wszystkich komunistów, dla całego bolszewizmu ogromną oporą moralną. Był prawdziwym Rosjaninem...

FRITJOW NANSSEN

*

Na początku wojny (1914 roku — red.) G. Plechanow wygłosił w Ge-

nowie referat o wojnie, który zwrócił na siebie uwagę całej emigracji. Referat był naspikowany wieloma cytatami z Marksa i Engelsa wręcz opacznie interpretowanymi, był obficie zaopatrzony w przykłady i porównania z historią i z literaturą pięknej, a to wszystko razem miało na celu usprawiedliwienie socjalizmu.

Wkrótce Plechanow powtórnie wygłosił swój referat w Lozannie. W. I. Lenin specjalnie przyjechał do Lozanny aby posłuchać Plechanowa. Włodzimierz Iljicz siedł na ten referat z ciężkim sercem. Wiedział, że Plechanow zajął pozycję socjalizmu, ale nie chciało mu się w to wierzyć.

— Czyżby to była prawda? — powtarzał wielokrotnie.

Referat zorganizowali mieniszewicy. Po wejściu do sali razem z kilkoma towarzyszami Włodzimierz Iljicz zajął miejsce w przedostatnim rzędzie, przy ścianie, aby nie zwracać na siebie uwagi. Ale po sali szybko rozeszła się wiadomość: — Lenin przyszedł! Lenin!

Czas rozpoczęcia już dawno minął, a Plechanowa wciąż jeszcze nie było. Włodzimierz Iljicz niepokoił się:

— Co to znaczy? Czy przypadkiem nie dowiedział się, że my tu jesteśmy i nie uciek?

Ale oto zjawił się Plechanow. Po przeproszeniu za spóźnienie i za to, że nie jest przygotowany do wystąpienia przed tak dużym zgromadzeniem, rozpoczął swój referat. W pierwszej części ostro skrytykował on niemieckich socjalistów za zdradę proletariatu. Oburzał się z powodu głosowania posłów — socjalistów w Reichstagu za kredytami wojennymi. Nazywał on niemiecką socjaldemokrację „oportunistyczną Sodomą i Gomorą”, gdzie pozostało tylko kilku „cnotliwych”.

Włodzimierz Iljicz ożywił się i po zakończeniu pierwszej części referatu wysoko podnosząc ręce długo oklaskiwał Plechanowa, pragnąc widocznie zachęcić go do takiego samego ustosunkowania się do francuskich socjalistów.

Druga część referatu rozczarowała jednak Lenina. Plechanow zaczął mówić o tym, że „Francja została zaatakowana”, że francuscy socjaliści nie mogli się odnieść z „tolstojowską obojętnością” do napadu na ich kraj. Usprawiedliwiał on to, że francuscy i belgijscy socjaliści głosowali za kredytami wojennymi i weszli w skład burżuazyjnych rzą-



Lenin, Maksym Gorki i Krupka w Gorkach, nad partią szachów.

dów. Dowodził on niesłuszności, mylności też Manifestu Komunistycznego, że w krajach kapitalistycznych „robotnicy nie mają ojczyzny”.

Natychmiast po zakończeniu referatu Włodzimierz Iljicz błady ze zdenerwowania, ale zewnętrznie spokojny poprosił o głos. Dano mu tylko 10 minut. W burzliwym 10 minutowym ataku, nazywając Plechanowa prelegentem (a nie towarzyszem), Lenin ideowo rozgromił przeciwnika, mimo całej uczoności tego ostatniego.

Plechanow już głosu nie zabierał...

*

Zachowało się wiele dokumentów świadczących o tym, jak Włodzimierz Iljicz pracował nad swoimi dziełami. Znajdują się wśród nich rękopisy napisane bez żadnej poprawki. Ale Włodzimierz Iljicz potrafił całymi tygodniami pracować nad gotowymi już manuskryptami. Co prawda broszura, którą mam na myśli, była pierwszą książką o socjalizmie i wojnie imperialistycznej i do książki tej Lenin przywiązywał szczególnie duże znaczenie.

28 lipca 1915 r. Włodzimierz Iljicz komunikował mi: „Broszura już napisana w całości”. A w następnym liście: „Powtarzam, że leży ona u mnie całkowicie gotowa. Przysię-

gam w połowie przyszłego tygodnia, a jeśli można przyspieszyć jej ukazanie się, to przysięgam natychmiast w razie otrzymania waszej depechy”.

A jednak całkowicie gotową broszurę Włodzimierz Iljicz trzymał u siebie. Dlaczego? Dlatego, że chciał wykorzystać każdy pozostały dzień, każdą godzinę, aby ją jeszcze raz przejrzeć, jeszcze i jeszcze raz przemyśleć, przerobić jakieś jej fragmenty. Dopiero około połowy sierpnia Włodzimierz Iljicz przesłał mi początek broszury.

„W broszurze należałoby coś niecoś wstawić i poprawić” — pisał Lenin do Genewy 16 sierpnia.

W różnym czasie Lenin przelał trzy wstawki, jedną uwagę i trzy dodatkowe uzupełnienia do broszury. Prócz tego żądał on odbitek korektorskich i wprowadzał poprawki. Lenin w ogóle bardzo niepokoił się o broszurę, wszelkimi sposobami przynaglał jej wydanie i wnikał osobiście w takie drobniaczki, jak czcionki tytułów i podtytułów. Praca przy tej niewielkiej książce trwała od 21 lipca do 11 października i z jej powodu Lenin przelał mi jedenaście listów.

W. A. KARPINSKI

MARIA NIEMIROW

Fotografia sprzed roku 1892

dzieci. A posługiwał się nawet na codzień tak piękną polszczyzną, tak kunsztownym językiem literackim, że sam Mickiewicz by się nie powstydział. Uśmiecha się pani? Znałam niejednego pisarza, który z najwyższym uznaniem oceniał tę jego zaletę. Rozkochany w poezji, zwłaszcza Słowackiego, potrafił deklamować z pamięci całe poematy. O tym wszyscy wiedzą, nie żadna to rewelacja.

Staruszka utkwiała wzrok w po-
zółkłą fotografię.

— Gdy na nich patrzę — powiedziała cicho — to jakby ożywali przede mną. Zawsze tak, a mam to zdjęcie, może jedyna teraz w Polsce, już kilkadziesiąt lat. Pamiętam osoby i zdarzenia... Ta fotografia pochodzi sprzed pierwszej w naszym kraju manifestacji majowej, zrobiona niemal w jej przededniu. Przygotowywali do niej robotników. Byli wtedy tacy młodzi, pełni sił i zapału... Nie będę opisywać przebiegu pierwszych uroczystości pierwszomajowych czy „buntu łódzkiego” w dziewięćdziesiątym drugim roku, bo to można znaleźć w książkach, gazetach. Opowiem o samym przygotowywaniu robotników do manifestacji...

Zamyśliła się znowu.

— Było to w osiemdziesiątym ósmym i dziewiątym roku. Marchlewski, chemik z zawodu, pracował wówczas jako farbierz w fabryce Biedermanna w Łodzi. Przeczą znajomość z Szumanem, kierownikiem finansowo — technicznym fabryki Stęphanusa, i z moim Felkiem, wtedy urzędnikiem kolejowym, skontaktował się z grupą młodzieży ożywionej ideą rewolucyjną i rwącej się do czynu, ale nie zorganizowanej. Szuman co prawda działał, lecz tylko na własną rękę. Pomimo to utworzył ważną placówkę; tajną kasę pożyczkową dla robotników, o której zrazu ani przypuszczał, że rozrośnie się ona i stanie się główną kasą strajkową. A zaczęło się od takiego drobnego na pozór wypadku. Wychodząc kiedyś z fabryki w dniu wypłaty, Szuman zauważył, że robotnicy dają pieniądze jakimś podejrzanym osobnikom czekającym na nich przed bramą. Zaczekał, dokładnie zbadał tę sprawę. Okazało się, że jest to wypłacanie procentów od wypożyczonych pieniędzy. Ofiar, zaprzędanych w ten sposób lichwiarzom, było

wśród źle zarabiających robotników wiele. I wówczas Szuman zorganizował kasę pożyczkową. Było to bardzo ważne dokonanie, ale niestety zaledwie lokalne. A w ogóle praca polityczna tej całej grupy rewolucyjnej była zrazu dość chaotyczna. Grupa działała na jednym terenie, jakby dorywczo, nie mając chyba wytyczonego planu.

— Zmysł organizacyjny Marchlewskiego — kontynuowała staruszka — zaradził rychło wszystkiemu. Marchlewski z właściwym sobie talentem i energią od razu przystąpił do dzieła. Wyznaczył swym przyjaciółom — współpracownikom dzielnicę Łodzi, czyniąc każdego odpowiedzialnym za wykonywany odcinek działalności. W ten sposób akcja z jednokomórkowej urosła do rozmiarów wielokomórkowej. Rozbieżnym częstokroć zapatrywaniom nadal jeden kierunek i stworzył organizację. Wśród kolejarzy, z którymi skontaktował go mój mąż, był Ludwik Krasuski, członek warszawskiego „Proletariatu”, cieszący się zaufaniem robotników, co dodatnio wpłynęło na rozwój akcji. Szuman natomiast zdobył sobie sympatię robotników przez oswojenie ich do wykrycia lichwiarzy. W takiej atmosferze stało się możliwe zwoływanie zebrania i kolportaż tajnej prasy. Na razie działalność grupy nie zataczała szerokiego kręgu. Ograniczała się do zebrania w mieszkaniu mego meza na rogu ulic Widzewskiej i Dzielnej, zwanym „latarnią”. Tu dla kilkunastu zwykłych ludzi wygłaszano odczyty uświadamiające, przekazywano naukę rewolucyjną Marksa, Engelsa, naukę szerzoną po raz pierwszy wśród polskich robotników przez Waryńskiego, który wtedy akurat umierał w twierdzy szlisselskiej, skłaniano robotników do samodzielnej oceny sytuacji; do dyskusji, samokształcenia. Celowali w tym Marchlewski i Dąbrowski (o na zdjęciu ten pierwszy z prawej)... Tak budowano, jak to się teraz mówi, świadomość klasową i rozwijano patriotyzm...

— Nic nie wiem o Dąbrowskim — przyznałam się.

— O, to bardzo ciekawa postać. Bez reszty oddany sprawie. Człowiek o głębokiej wiedzy i ciągle dokształcający się. Mówił mało, ale każde jego słowo miało wagę złota. W organizacji ceniony był jako świetny prelegent oraz inteligentny i pełen

inicyjatywy kolporter tajnej prasy. Pomysłów jego w ukrywaniu tak zwanej „bibuły” nie mógłby wykryć najpodejrzliwszy detektyw. Czego ten chłopiec nie robił! Podwójne dna w kuferkach, tajne „kieszenie” w obojętnej karecie i różne inne sposoby, o których opowiadania i anegdoty długo jeszcze po jego aresztowaniu i osadzeniu w Dziesiątym Pawilonie Cytadeli Warszawskiej krążyły wśród znajomych, jak fragmenty sensacyjnych powieści. Ten właśnie kolporter przysłużył mi się do zysku na Sybir. Mówiono mi, że człowiek ten nawet w więzieniu i na zesłaniu się uczył. Widziałam go w Warszawie w tysiąc dziewięćset trzydziestym czwartym roku, to znaczy w czterdziestu pięciu czy sześć lat po dokonaniu tego zdjęcia. Nie był to już ten młody, jak łatwo się domyślić, pełen życia Dąbrowski. No cóż, nie oszczędza nas życie... Ale duch buntu przeciw naszalemu złu pozostał w nim nadal...

— A jak zachowywały się władze carskie wobec przygotowywanej manifestacji? — spytałam.

— Ano, niebawem zorientowały się, że w Łodzi wzbiera burza. Czujność szpicli i żandarmerii wzrosła. Chłopcy dla odwrócenia od siebie uwagi, a trochę i z naturalnego chęba pociągu do zabaw, chodzili na bale do Resursy Obywatelskiej i na domowe nawet bankiety do rosyjskich dostojników. Tylko bezkompromisowy Marchlewski i mój Feliks, o którym mawiano, że ma sztynny kark, nie brali udziału w tych imprezach. Toteż pierwsi popadli w podejrzenia policji. Feliks zdążył jeszcze w największym pośpiechu umknąć do Żurychu we wrześniu dziewięćdziesiątego pierwszego roku, a pana Juliana w kilkanaście dni potem aresztowano. A taka piękna była jesień tego roku! Słoneczno, ciepło, dzień...

Trzeba się usilnie zastanowić, by wydobyć wspomnienia sprzed sześćdziesięciu kilku lat. Opowiadająca umilkła, przyknięta oczy dla łatwiejszego zebrania myśli owych wspomnień.

— W Łodzi nastało istne piekło — ciągnęła potem. — Wśród licznie aresztowanych robotników i pracowników umysłowych fabryki Stęphanusa wywołano Jana Ledera (na zdjęciu stoi pierwszy z lewej), cieszącego się szczególnym zaufaniem i sympatią Marchlewskiego. Był to miły, szlachetny młodzieniec,

Czechow, Brecht i ambicje

Trzy spektakle — a powodów do radości wiele. Chodzi o eliminacje studenckich zespołów dramatycznych środowiska warszawskiego. Spotkały się tu dwie największe nasze uczelnie: Uniwersytet i Politechnika Warszawska. Spotkały się dwa zespoły bardzo różne pod wieloma względami. Jedno miały wspólne — wielki zapal, wielkie ambicje.

Zespół Uniwersytetu pokazał dwie jednoaktówki Czechowa, dobrze u nas znane ze sceny i filmu — „Oświadczenie” i „Jubileusz”. Obie sztuki reżyserował Józef Kalita.

Charakterystyczna jest motywacja takiego własnego wyboru. Reżyser precyzuje go krótko: „Szukaliśmy dobrego tekstu”. Było jednak wiele bardziej szczegółowych powodów, dla których po dość długim rozglądaniu się wybrano „Oświadczenie” i „Jubileusz”. Zespół zamierzał zaprezentować spektakl nie tylko kolegom z Uniwersytetu; chciał wyjechać na wieś, chciał takiej sztuki, która pozwoli na dużą ruchliwość przy minimalnych środkach technicznych, sztuki o właściwościach kameralnych. Reżyser musiał wrzucić brat pod uwagę możliwości obsadowe, a te były niewielkie (zespół składa się z 8 osób).

I „Jubileusz” i „Oświadczenie” były dobrymi przedstawieniami amatorskimi. Brakło może jakiegoś ostatecznego wyglądu, zwłaszcza w „Jubileuszu”, ale ogólnie inscenizacja była poprawna, a poziom gry czelówki zespołu (Bożena Jeziorska, Janusz Trybusiewicz i Bogusław Litwiniec) — na pewno dobry. Cała trójka (wyraźnie utalentowana) była dobrze przygotowana — grała z temperamentem i swobodą.

„Oświadczenie” były zwarte, prowadzone w dobrym tempie i aktorsko — wyrównane. W „Jubileuszu” na tle zespołu wyraźnie razła nowowocnością i brakiem swobody Joanna Nowakowska (Taliana).

Ambicje zespołu Politechniki były nieco większe. „Chcieliśmy dać sztukę rewolucyjną w treści i rewolucyjną w formie teatralnej” — padło ze sceny zdanie w przed spektaklowej prezentacji. Zespół wystawił 9-odslonową sztukę Brechta „Pan Puntilla i jego sluga Matti”.

„Pan Puntilla” jest sztuką bardzo trudną. Wymaga od reżysera przede wszystkim niezwykle precyzyjnego odczytania idei utworu. Wymaga

wielkiej kultury scenicznej, bogatego warsztatu aktorskiego. Tekst tej sztuki, a jeszcze bardziej jej podtekst musi być wygrany do końca, ze wszystkimi niuansami.

I tutaj kilka słów o samej realizacji ambitnych zamierzeń zespołu Politechniki.

„Pan Puntilla” zdecydowanie przerażał możliwości inscenizacyjne i aktorskie amatorów. Spektakl był niesłychanie nierówny. Aktorsko — na scenie „istnieli” właściwie tylko Puntilla i jego córka. Druga postać tytułowa — Matti, była zupełnie nieporozumieniem. Role drugo i trzecio-planowe wypadły bardzo różnie. Nierówność cechowała całe przedstawienie. Ujemnie odbił się na nim pośpiech (przedstawienie było zresztą premierą), a wielu osób raziło słabe opanowanie tekstu, słaba dykcja.

Oprócz momentów wyraźnego chaosu na scenie było i kilka takich, kiedy zapomniało się o wszystkim — i wtedy porywał widza sam Brecht. Raz niezwykle ostry i zjadliwy, pełen mocnych brechtowskich point, raz pełen bólu i nienawiści, kiedy indziej znów uroczony, żartobliwie uśmiechnięty. I choćby tylko za te krótkie chwile prawdziwego Brechta — należy się zespołowi wdzięczność.

Wystawienie „Pana Puntilli” należy potraktować jako eksperyment. Byłoby źle, gdyby zespół Politechniki wszystkie te krytyczne słowa przyjął jak kubek zimnej wody. Chodzi tylko o to, żeby zrozumieć, że repertuar trzeba dopasowywać do obiektywnych możliwości, żeby nie zapominać, że nie jest się teatrem zawodowym. Wybór „Pana Puntilli” był chyba dużym nieporozumieniem. To tak, jakby najlepszy choćby zespół amatorski uparł się wystawić, na przykład — „Hamleta”!

W tym jednak miejscu warto wystąpić z pewną propozycją. Po pewnym „doszlifowaniu”, które jest absolutnie konieczne — „Pana Puntilla” warto pokazać szerszemu gronu ludzi, także i ze środowiska nie studenckiego. Idąc dalej — wydaje się, że urządzenie dyskusji nad wystawieniem utworu (może z udziałem choćby kilku tylko zaproszonych „ludzi teatru”) — byłoby bardzo ciekawe i pouczające.

Przedstawienia Czechowa i Brechta, jakie dały zespoły dwóch naszych największych uczelni — to naprawdę wiele powodów do szczególnej radości. Przede wszystkim są



We wszystkich środowiskach studenckich odbywają się eliminacje zespołów artystycznych. Najlepsze z nich zobaczymy na eliminacjach centralnych w Łodzi w dniach 7 i 8 maja oraz... na V Światowym Festiwalu Młodzieży i Studentów w Warszawie. Nasze zdjęcie przedstawia zespół taneczny Politechniki Łódzkiej wykonujący suitę tańców ludowych zakwalifikowaną przez jury do eliminacji centralnych.

Foto: Tadeusz Krasnodębski

już chęci, jest zapal. Są niemałe ambicje — i dobrze, że są. Są również, nie bójmy się tego słowa — wyrażne talenty. W sumie — są wszelkie dane, żeby w Warszawie zrobił się ruch wokół studenckich scen. Wydaje się, że są również niemałe dane ku temu, żeby przedstawienia amatorskich teatrów studenckich osiągnęły naprawdę dobry poziom artystyczny i zaprezentowały się na Festiwalu.

Jest jednak i „ale”. Dotyczy ono (jeśli mowa o tych tylko dwóch zespołach) — głównie zespołu Uniwer-

sytetu. To „ale” to pomoc, jakiej zespół... nie otrzymuje. Wydaje się, że KU ZSP i ZMP przy Uniwersytecie Warszawskim — nie bardzo wiedzą, „co posiadają”. Nikt nie interesuje się zespołem, jeśli nie liczyć faktu wyposzczenia samochodu do przewozu dekoracji, nikt zespołu nie zna. I nie ma się co dziwić, że zespół jest coraz bardziej rozgoryczony, że ludziom mogłoby powoli opadać beznadziejność... ale oni są uparci i na pewno przetrwają do chwili aż „instancje” im pomogą.

JANUSZ DOMAGALIK

O szczęściu zrodzonym w trudzie

(Dokończenie ze str. 1)

syłał delegatów do „wszystkich diabłów”. Wymusił na nim tyle, iż orzekł, że o ile znajdą w terenie potrzebny materiał — pozwoli go im kupić i zatwierdzi plan.

Do batalii włączono szerokie zaplecze. Studenci rozesłali dziesiątki listów do absolwentów swojego wydziału rozsiadanych w przedsiębiorstwach województwa krakowskiego i Śląska. I w rezultacie powoli zaczęły napływać odpowiedzi mówiące o nieupłynionych remanentach, ukrytych rezerwach w zakładach przemysłowych i składnicach złomu. O błogosławione niech będzie takie kumoterstwo!

W planie dwukilometrowej linii wysokiego napięcia część słupów musiało się znaleźć na gruntach sąsiedniej wsi. Konsternacja. Skomplikowany proces wywłaszczenia, zwrot odszkodowań. Chłopi załatwili jednak sprawę polubownie. „Możecie kopać słupy — orzekli sąsiedzi — byle zimą, dopóki nie rozmiękną siewy”.

Dokumentacja jeszcze nie zatwierdzona przez kompetentne urzędy. Co robić? Po godzinach ciężkich rozważań Grabski bierze sprawę na swoją odpowiedzialność. O ile nie zatwierdzą — słupy wykopie się. Trzeba działać korzystając z mrozów.

Przez dwa dni mordowali się w pagórkowatym terenie, przeszywani do szpiku mroźnym wiatrem. Słupy wysokości 13 metrów, ślisko. Trzeba było wprowadzić żelazną dyscyplinę, by wyeliminować możliwość wypadków. „Jeszcze nigdy tyle brudu nie wyrzucili z geby, co przez te dwa dni” — wspomina z uśmiechem Grabski. Studenci Ciągła i Zieliński pracowali wtedy chyba nie gorzej niż komсомолы z „Daleko od Moskwy”. Później Grabski spał bez przerwy 18 godzin.

Kwiecień. Dokładna dokumentacja dawno już ukończona, ale od miesiąca leży w inspektoracie sanitarnym. Ktoś tam odpowiedzialny zachorował czy wyjechał na urlop. Studenci czekają na główny etap pracy — montaż przewodów. Roboty huk — pięć kilometrów niskiego i dwa wysokiego napięcia.

Robotnicy Krakowskiego Przedsiębiorstwa Elektryfikacji Rolnictwa

w czynie 1-majowym zobowiązali się wymienić wydobytą skądś przez studentów linkę złomową na nową, pełnowartościową przewód wysokiego napięcia.

Drobni rzemieślnicy, członkowie miejscowego komitetu elektryfikacji, już od trzech miesięcy nie pracują; załatwiają formalności. W bojowej akcji wzmożła się solidarność gromady. Na przykład uboga wdowa nie posiadająca środków na wpłacenie swego udziału wymyśla podłogę w sali, gdzie miała się odbyć zabawa, której zysk przeznaczono na elektryfikację.

Na IV roku zbliżają się egzaminy dyplomowe. Kilka dni temu przewodniczący ZMP, Baranek zwołał zebranie. Czy zdołają dokonać zaciąg robotę? Wielu milczało... Może przekazać pracę młodszym latom? Garną się przecież do niej.

Jest w młodych ukryta siła, która nie pozwala stanąć w polowie mimo największych trudności. Dla większej sprawności w wykonaniu ostatnich prac powołano komitet, który zatroszczy się o przygotowanie środków technicznych — narzędzi, butów, kombinizonów. Weszli do niego Baranek, Borowiec, Dudziak, Leś, Malinowski i Rodak. Wyjadą w maju, na dwa dni. O ile od razu nie uporają się z założeniem instalacji w chałupach, dokonają pracy w ramach praktyk. Te dalsze dwa dni na wyjazd do Konar na pewno znajdą.

Rozpoczęcie przez nich dzieła podjęmą młodzi koledzy. III rok studiów chce zelektryfikować sąsiednią spółdzielnię produkcyjną.

*

Lekarza Dorosza nie ma już w Konarach. Dostał przydział do innej miejscowości. Jego śmiały myśl ucieleśniając w czyn dziesiątki upartych młodych. Młodych nie zawsze wiekiem — ale zawsze energią i charakterem.

Gdy błysnę elektryczne światło w chałupach Konar — ludzie o których piszę przeżyją podobną chwilę jak ci z początku opowieści i pomyślą, że wata jest tyle trudu.

To się nazywa szczęście — Koleżanko z Łódzkiej Politechniki.

Już w następnym numerze:

- O WĄTPLIWOŚCIACH STUDENTÓW UNIWERSYTETU WARSZAWSKIEGO
- KORESPONDENCJA WŁASNA Z AKADEMII MEDYCZNEJ W HAM-HYNI (KOREA)
- O PRACY NAUKOWO-BADAWCZEJ OLSZTYŃSKICH STUDENTÓW
- „STYPUCHA” — PLUSY I MINUSY SYSTEMU STYPENDIALNEGO W ZSR
- DYSKUSJA O SZCZĘŚCIU
- „KTO POTRAFI?”
- POKUZYNY
- REGULAMIN I KUPON OSOSO
- DALSZE UŚMIECHY KONKURSOWE

MAREK HŁASKO

Na marginesie opowieści Hemingway'a czyli o pięknie pracy

pozostawiając „fachową ocenę” opowiadania amerykańskiego pisarza krytykom (którzy i bez zamyśleń tak burzowo i bieżąco się wypowiadają, że każdy kawałek przeczytanej w czasopiśmie prozy jest sukcesem i czytelnika, i pisarza, i redakcji) — pozwól sobie na zupełnie uboczne uwagi nie dotyczące filozofii tego opowiadania. Wydaje mi się zresztą, iż jest to jedno z najpiękniejszych opowiadań o sile, wytrwałości i charakterze człowieka, jakie zdarzyło mi się czytać. „Człowiek nie jest stworzony do kleski — monologuje stary rybak, kiedy nie pozostało mu już nic prócz szkieletu z takim trudem upolowanej ryby, ran na rękach i szczątków wiosel. — Człowieka można zniszczyć, ale nie można go zlamać”.

Są to jednocześnie jedne z najpiękniejszych w literaturze kart, jakie napisano na temat ludzkiej pracy. I nie — jak mam wrażenie — w doczytywaniu się w tej opowieści obrzyliśmy metafory, lecz w dosłowności tego opowiadania — zakłeta jest jego najwyższa wartość.

Odkąd tylko istnieje literatura, praca ludzka jest jednym z wieczniejszych tematów obok miłości, zdrady, zwycięstwa lub klęski. Mocarzy pracy opiewali pisarze starożytności i średniowiecza; lista tych, którzy o niej pisali, urosłaby do setek pozycji; o pracy mówili wielcy realściści wieku dziewiętnastego. Dziś właściwie trudno znaleźć — czy to w naszej, czy w zachodniej literaturze — powieść, która nie byłaby silnie lub słabiej związana z zagadnieniem pracy. Dla wielu ludzi praca stała się natchnieniem lub przekleństwem.

Przypomnijmy sobie sugestywne, ponure w nastroju opisy pracy w „Germinalu”; ginących z wyczerpania ludzi, ciemne korytarze kopalni, szare, przeraźliwie wynędzniałe twarze robotników; od czasu do czasu — rozpaczliwe akty samoobrony przed przekleństwem pracy. Zoli — pisarzowi o ogromnie wrażliwym sercu — opisy męki robotników służyły konkretnym politycznym celom. Spędził on wśród górników północnej Francji szereg miesięcy, poznał ich życie, nędag i trud; krzyk protestu, jakim była cała twórczość Zoli, musiał ustrząsnąć niejednym z czytających wówczas Francuzów, a i dziś jeszcze nie tak łatwo odetchnąć po przeczytaniu którejś bądź z jego książek. Dlatego zapewne — aby zwrócić na nią uwagę Francji — odebrał pisarz pracy ludzkiej jej piękno.

Porównajmy opis pracy górników w „Germinalu” z opisem pracy jaki dał Żeromski w „Ludziach bezdomnych” — w opisie kuźni. W przeciwieństwie do opisu pracy w fabryce cygar, Żeromski z uderzającego z niesłychaną siłą kowala — uczynił niemal antycznego bohatera; otoczył go snopem iskier, dymem i ogniem; ciosom jego młota kazał brzmieć niby uderzeniom dzwonu; był chyba Żeromski pierwszym w Polsce pisarzem współczesnym, który chciał pokazać nam piękno pracującego fizycznie człowieka. Dlatego też wybaczyć musimy Żeromskiemu, że opis zakulego w antyczne piękno kowala nie ma — daleko! — zbyt wiele wspólnego z pracującym ówczesnie w koszmarnych warunkach ludźmi.

Niesłychanie wiele pięknych i prawdziwych opisów pracy pozostawił nam Gorki — pisarz, który swoją tęsknotą i czystością wzruszać będzie za lat pięćset. Zaden chyba pisarz nie przekazał potomnym tyle prawdy o pracy swego narodu i czasu, w którym żył, jak uczynił to Gorki. Od pierwszych młodzieńczych opowiadań praca jest stałym tematem twórczości pisarza; spław drzewa, barki na Woltzie, rzemieślnicze warsztaty, fabryki, chłopów w polu, pracownię świętych obrazów; o, znał ten pisarz prawdę i piękno pracy — żaden z pracowników w jego powieściach nie przestaje być ani na chwilę żywym człowiekiem! Opis ratowania barki w jednej z wcześniejszych powieści „Foma Gordiejew” — jest chyba do dziś najznakomitszym obrazem pracy, w której zmienia się wewnętrzny świat człowieka.

Twórcy naszych powieści produkcyjnych (nie używam tego terminu w znaczeniu ironicznym) poradzi sobie z zagadnieniem pracy nieco inaczej. Statedzenie nie ma nic łatwiejszego dla człowieka inteligentnego — zważywszy, że istnieją także inteligentne papugi! — jak wyuczenie się w ciągu tygodnia setek terminów technicznych, którymi potem operować można w nieskończoność. Dla zwyczajnego czytelnika śrutka i tak pozostanie śrutką, a efekt mażna wywołać kolosalny: „Blaże” Mordas silnie zaciśniętą ręce na głowicy. Całym ciałem czuł dygotanie transmisji; był teraz zespolony z maszyną w jedno. Zerknął nerwowo na suwmiarkę — w jej rozłożonych na dziesiątki milimetrach zamknięty był teraz jego łus. Patrzył na niego wsypujący; czuł także socjalizm. I nie trzeba chyba dodawać, że prawdziwie potrafił pracować tylko prawdziwi ludźmi. Literatura polska czeka na wielką powieść o pracy.

Hemingway pokazał nam starego człowieka, który walczy samotnie z morzem. I rybak ten wygłaszający monologi godne Fausta — postać zgola fantastyczna — jest prawdziwym tylko dzięki swemu stosunkowi do pracy.

Być może, że jest on jedynym pięknym robotnikiem we współczesnej literaturze amerykańskiej nie będącej literaturą postępową. Robotnikiem, dla którego życie straci sens dopiero wtedy, kiedy ręce jego nie będą dość silne i sprawne, aby dalej pracować. A my takich robotników mamy wielu. Może się mylić, ale wydaje mi się, że żadnej książki nie przeczytałbym tak zachłannie jak własną książkę o pracy. O prawdziwej pracy. Tokarki nie krecać się same, nie krecać ich także socjalizm. I nie trzeba chyba dodawać, że prawdziwie potrafił pracować tylko prawdziwi ludźmi. Literatura polska czeka na wielką powieść o pracy.



A oto samo zdjęcie. Stoją od lewej: Jan Leder, Ludwik Krasuski, Antoni Szuman, Wacław Dąbrowski. Siedzą: Julian Marchlewski, Feliks Siemiątkowski (moż opowiadający) i Antoni Głiszczynski.

zwany „małym Janikiem”. Biedny! Chory był na płuca i nie przetrzymał więzienia. Umarł, gdy w beznadziejnym stanie zdrowia wypuszczono go po roku. Kilka dni za ledwie cieszył się wolnością. Aresztowano także Ludwika Krasuskiego. Ale dzięki wstawianictwu córki jakiegoś rosyjskiego dygnitarza, którą obfarcowywał na kilku balach, został zwolniony i przeproszony za tak „nieprzystojne” posadzenie, jak udział w robotniczej konspiracji politycznej. Po zwolnieniu pracował nadal w Łodzi wraz z Dąbrowskim. I tylko z Dąbrowskim. Bo smutny, bezekki Artur Głiszczynski (na fotografii siedzi pierwszy z prawej) odszedł do Wągrowa, do pracy w Związku Robotników Polskich...

— A Szuman (świ drugi z prawej) wystąpiła konspiracja za granicę, w charakterze tak zwanego „ofiarne go koła”. Wedle poprzedniej umowy,

na niego zrzucano podczas badań najcięższe przewinienia. Uciekł do Szwajcarii, gdzie spotkał się z moim Feliksem i wszedł razem z nim do Socjal - Demokracji Królestwa Polskiego i Litwy. Mam tu gdzie ich listy stantad...

Z fotografii siedmiu młodzieńców powstał dziwny smutek. Śnieg, rzadki intruz w drugiej połowie kwietnia, zaczął teraz w okno, targany zgola zimowym wichrem. Małe mieszkanko ogarnął półmrok.

Choćby inicjatorzy „buntu łódzkiego”, rozprośzeni po świecie i pozamykani w więzieniach, nie byli świadkami skutków swej działalności, strajk, który wybuchł z okazji uroczystości pierwszomajowej 1892 r., stał się dowodem, że ich praca i ofiarność nie poszły na marne. Gdy kończył rozmowę, pogodni młodzieńcy na starej fotografii byli mi już znajomi, a przede wszystkim serdecznie bliści,



Rynek w Kolnie.

Foto: Tadeusz Jaszczuk.

Los, a właściwie delegacja służbowa, rzuciła mnie w najbardziej zaniedbany chyb zakątek Polski, na „Mazowieckie Zaporze” — w Białostocczyźnie. Już siedmiodzinna podróż kolejką wąskotorową przez Puszcze Kurpiowską miała w sobie coś z wielkiego przykucia.

Dwa wagoniki i lokomotywka zatrzymały się kiedy chciały: raz dla nabrania wody ze strumienia, to znów maszynista i konduktor wstępowały po drodze na drugie śniadanie, potem pociąg czekał na czyjeś znajomego. Można było napatrzyć się doli na chłopskie zagrody rozrzucone po piaszczystych wydmach, na puszcze poprzecinane rzekami i łąkami. Nikomu z jadących nie spieszyło się do stolicy powiatu — do Kolna.

Jeszcze do niedawna mało kto odwiedzał te ziemie. Odpychał przyjezdnych kraj niespokojny, pełen watazków o romantycznych pseudonimach „Cygan”, „Lampart”, „Noc”. Teraz pewny o głowę, możesz zapuszczać się w najodleglejsze kolonie aż po Lemań, Turso i Ptaki. Z krwawych walk o władzę pozostała jeszcze wśród chłopów nieufność do przybysza, coś co urywa wół zaczące zdania lub zamyka przed gościem drzwi.

Kolno z lotu ptaka sprawia wrażenie architektonicznego bełzadu. Stodoły obok świejących blachą kamienic, gmachy państwowe obok zbutwiałych chałup; koncentrycznie rozbiegające się ulice tuż za rynkiem stykają się z kartofliskiem. Senne, ciche, powiatowe miasteczko ożywia się dwa razy w ciągu dnia. Rano kolejka wąskotorowa przywozi dojeżdżających do Kolna pracowników, po ósmej ulice są znowu niemal puste. Czasami tylko przejeżdża PZGS-owski „Star” lub przedelfuje krowa. Poza tym spokój. Teraz wolno mijają godziny pracy w biurach, w szkole i przy warsztatach. W pustym kościele trzy dewotki natrętnie proszą o coś Boga. Bieczynni księża czekają na obiad.

Po południu zaludniają się znów ulice i rynek. Koniec pracy i początek nudy, która „jest kontrrewolucją”. Urzędnicy i nauczycielki, pielegniarki i rzemieślnicy szwędają się bez celu oczekując nocy i snu. Co robić? Kolno nie zapewnia jeszcze swoim mieszkańcom pełnego zaspokojenia podstawowych potrzeb kulturalnych, zresztą są one prawie nie rozbudzone. Gorzej, że nikt z władz miejscowych nie niepokoi się tym stanem rzeczy.

Pytałem kierownika miejscowej księgarni o stałych odbiorców książek, dowiadywałem się o tych, którzy czekają nowości wydawniczych. Ob. Nerko odpowiedział mi z zażenowaniem, że Kolno posiada dwóch stałych nabywców książek (nauczycielka i chłop). Wszyscy inni mijają księgarnię obojętnie, zaglądając do niej tylko po broszury i podręczniki szkolne.

Nie ma jeszcze w Kolnie Domu Kultury. Stale zamknięta świetlica PSS otwierana jest tylko podczas zebrań. Wygodne, przestronne pomieszczenie biblioteki miejskiej oddano wydziałowi finansowemu Rady Narodowej. Etat kierownika wydziału kultury PRN jest od lat nie obsadzony. Życie kulturalne i ideowo-polityczne są żywe w wąskim strużku od akademii do akademii, ożywając się jedynie z przyjazdem teatru czy występem „Artozu”.

Nie ma jeszcze w Kolnie Domu Kultury. Stale zamknięta świetlica PSS otwierana jest tylko podczas zebrań. Wygodne, przestronne pomieszczenie biblioteki miejskiej oddano wydziałowi finansowemu Rady Narodowej. Etat kierownika wydziału kultury PRN jest od lat nie obsadzony. Życie kulturalne i ideowo-polityczne są żywe w wąskim strużku od akademii do akademii, ożywając się jedynie z przyjazdem teatru czy występem „Artozu”.

Nie ma jeszcze w Kolnie Domu Kultury. Stale zamknięta świetlica PSS otwierana jest tylko podczas zebrań. Wygodne, przestronne pomieszczenie biblioteki miejskiej oddano wydziałowi finansowemu Rady Narodowej. Etat kierownika wydziału kultury PRN jest od lat nie obsadzony. Życie kulturalne i ideowo-polityczne są żywe w wąskim strużku od akademii do akademii, ożywając się jedynie z przyjazdem teatru czy występem „Artozu”.

Nie ma jeszcze w Kolnie Domu Kultury. Stale zamknięta świetlica PSS otwierana jest tylko podczas zebrań. Wygodne, przestronne pomieszczenie biblioteki miejskiej oddano wydziałowi finansowemu Rady Narodowej. Etat kierownika wydziału kultury PRN jest od lat nie obsadzony. Życie kulturalne i ideowo-polityczne są żywe w wąskim strużku od akademii do akademii, ożywając się jedynie z przyjazdem teatru czy występem „Artozu”.

Szerzy się wzajemna niechęć, której, osobiste porachunki. Wiszą

w powietrzu plotki i ploteczki, obmowy i zawiści, jakieś podskórne wykrzywione życie społeczne: kto, kiedy, z kim, gdzie i dlaczego.

Pozornie wydaje się, że w tym chłopsko-urzędniczym Kolnie niewiele się zmieniło od czasu ubiegłego stulecia. W rzeczywistości wszystkie procesy przemian społecznych rewolucji ludowej ukazują się tu w klasycznej niemal wyrazistości. Wobec niewielkiej liczby mieszkańców (ponad 3 tys.) każde zjawisko społeczne daje się wypręparować prawie do jednostkowych faktów.

W ciągu dziesięciu lat Polski Ludowej zbudowano w Kolnie mleczarnię, uruchomiono 11-latkę, otwarto wielki ośrodek zdrowia, oddano do użytku wiele budynków mieszkalnych, lecznicę zwierząt. Władza zapewniła ludziom pracę. Zostały już zaspokojone w mniejszym lub większym stopniu elementarne potrzeby ludzkie. Nikt nie chodzi głodny, obdarty i bez dachu nad głową. To jest dużo. Ale jednocześnie niewiele w porównaniu z tymi, co nasz ustrój chce dać człowiekowi.

W warunkach odległego od kulturalnych i przemysłowych ośrodków powiatu rola inteligencji jest bardzo istotna. Zie, że niewiele jest tu jeszcze młodej, rewolucyjnej inteligencji — tej niezbędnej siły przewrotu społecznego — ludzi powołanych do burzenia zastanych obyczajów, kulturowych i nawyków drobnomieszczaństwa. Niedobrze, że nieraz wypada jej walczyc w pojedynkę z niezrozumieniem jakim się ją otacza.

Przykład Eliasza Minkiewicza, którego pamiętnik drukowaliśmy w 12 n-rze POPROSTU, jest bardzo

charakterystyczny. Tem młody lekarz po objęciu pracy ruszył na bój z niewłaściwymi stosunkami w kolniewskiej służbie zdrowia. Wymiałał stąd obmowę, wzajemną niechęć, kopanie pod sobą dołków, osobiste porachunki, kliki, zaniedbanie pracy, niewiarygodne lekceważenie pacjentów.

Walka kończyła się często porażkami Minkiewicza. Szczuty, szkoleny przed władzami wojewódzkimi Minkiewicz nie upadał. Nie zraził go nawet wniosek Bronnera, kierownika wydziału zdrowia PRN, o przeniesieniu go do ośrodka zdrowia w Małym Płocku. Dopiero po dwumiesięcznych zmaganiach przyznano mu rację. Jeden z działaczy Kolna oświadczył mi na odczyt: „Wiedzę, dziesięciu Minkiewiczów zrobiłoby tu dużo, przysłójcie nam więc takich jak największy i jak najszybciej”.

A inni? Po przebyciu nieuchwytnych linii, która oddziela młodość od delikatnie zaprawionej gorczą dojrzałości — wybierają z mnogości losów jeden. Namietni, kipiący życiem, z burzą w sercu, wydają walce ostrą, pryncypialną, aby na gruzach starego umocnić nowy styl życia. Albo rozpływają się lub szukają zapomnienia w kłóstkach. Rozcziwiał się samotnie w literaturze minionych wieków, byle dalej, coraz dalej od szarych miejsc, w którym się żyje. Robi to poważna część nauczycieli z kolniewskiej 11-latki.

Zapobiegliwi, jak jeden z kolniewskich lekarzy, kręcą się wokół własnej kiesy. Po otwarciu prywatnej praktyki, różnymi sposobami robi pieniądze, ciula, odkłada na meble, radio, garnitury, plac i domek, aby w miarę zamożności robić to z coraz większą zachłannością. Ta troška o „byt” urasta u niego do naczelnego przeżył i kształtuje jego stosunek do świata. Takie zaś „wzidzenie rzeczywistości” zacieśnia i zubaża człowieka.

Inni od pierwszego dnia zapadają na niszczącą chorobę młodości — obojętność, apatię pogłębiającą się z dnia na dzień, z godziny na godzinę. Reszta pozostaje ni namietna, ni obojętna.

Nikt z młodej inteligencji przybywającej tu do Kolna nie mógł nie wybierać. O decyzję ostro domagało się życie, przesiewając niezdycydowanych. Niewiele wybrało walkę. Prawie wszyscy przychłi, spokojni, przywykli, przystosowali się zrażeni pierwszymi niepowodzeniami. W konsekwencji czują się zawiedzeni i nieszczęśliwi.

Nasuwa się pytanie: gdzie szukać źródeł i jakie są przyczyny, kto ponosi winę za to, że oficerowie naszego życia gospodarczego i kulturalnego (tak ich przynajmniej nazywa się na uczelni) zostają w terenie wlokącymi się w ogonie życia ciurami?

Winę ponosi tu w poważnej mierze cały system wychowania młodej inteligencji. Wyższe uczelnie dają z roku na rok wiedzę coraz pełniejszą, ale nie rozpalają w człowieku wielkich pasji, wielkiego pragnienia, by przyspieszyć i urzeczywistnić

na ziemi największą z idei, nie budzą nienawiści do tego, co wstrzymuje nasz marsz w przyszłość. Z uczelni wychodzą często jeszcze nie bolszewicy, nie burzyciele starego, nie inicjatorzy walki, a łagodni, pragnący spokojnego życia wykonawcy. Zagubiono piękną zasadę Gorkiego, że „wychowywać to znaczy rewolucjonizować”.

Nie bez winy pozostają tutaj miejscowe władze. Na pewno nie ma podstaw realnych sugerowana przez lekarza Robaka sprzecznosc między władzą miejscową, a wiedzą przyjeżdżającą tu inteligencją. Ale faktem jest, że prawie nikt z miejscowych tzw. „czynników” nie widzi w inteligencji realnej siły zmian społecznych. Ani Partia, ani ZMP, ani Rada Narodowa nie wyciągają do niej ręki, nikt się o nią nie troszczy, gdzieś rwa się nikt wzajemnej przyjaźni, zrozumienia, wspólnej walki o jedną sprawę, a zacytuję niechęć i niezrozumienie.

Miejscowe władze posiadają młodych absolwentów wyższych uczelni o zarozumiałość i bezdecepcję. Ci ostatni rozważeni są takim brakiem zrozumienia. W Istocie nasi towarzysze sprawujący władzę w powiecie zapominają, że młodzi lekarze, agronomowie, nauczyciele, różnią się zasadniczo od dawnej, zmieszczanej inteligencji. Wyszli oni przeważnie z ludu i chcą mu służyć. To wcale nie frazes, to fakt.

W tych warunkach z dnia na dzień marnieją zasoby wiedzy gromadzonej na uczelni podczas studiów.

Młody lekarz weterynarii, zapale nieć piłki nożnej, nie może zrealizować swoich zamiarów stworzenia klubu sportowego z powodu niezrozumienia PKKF-u. Dyrektor szkoły od dłuższego czasu bezskutecznie zabiega o zorganizowanie chóru i orkiestry. Jedna z nauczycielek myśli o wystawieniu sztuki teatralnej, nie spotyka wszakże żadnego zainteresowania dla swej inicjatywy. Lekarze mają realne plany upowszechniania wiedzy medycznej, nikt jednak nie spieszy im z pomocą i poparciem.

Wyjeżdżam z Kolna przeświadczony, że przełom w życiu młodej inteligencji i w powiecie jest konieczny.

Niezbędny jest po to i przełom w świadomości towarzyszy z KP Partii, Rad Narodowych, ZP ZMP. Trzeba aby wreszcie dostrzegli oni w młodej inteligencji wielką siłę rewolucyjną, która nie wykorzystana marnieje z dnia na dzień. Przedstawiciele władz muszą zburzyć istniejący jeszcze mur wzajemnej nieufności i niezrozumienia. Z drugiej strony absolwenci wyższych uczelni nie powinni stać na uboczu, z założonymi rękami i poddawać się nastrojom rozczarowania — od nich samych przecież zależy dokonanie wielkich zmian.

Pierwsze meldunki z przedfestiwalowej Wiosny Zakowskich Igraszek

Nie ma takiego środowiska studenckiego, gdzie by igraszki przeszły bez echa. Jednym podobno się turniej krasomówny, innych wieści o zajęciu OSOSO, jeszcze inni myślą jak zorganizować wiosenną imprezę studencką, która przypominałaby tradycję zakowskie, a jednocześnie dala ciekawą rozrywkę i dużo radości. Owocem poszukiwań w tym kierunku, w nieł órych środowiskach — o cieplejszym, bardziej młodzieńczym klimacie — już dojrzewają.

W KRAKOWIE

Taki młodzieńczy klimat zapanował wśród żaków starego, prawie 600 letniego Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Studenci razem z profesorami przygotowują tam wielką imprezę pod nazwą „Juwenalia”. Trzydniowy program imprezy (13, 14 i 15 maja) przedstawia się imponująco. Oprócz podsumowania 10-letniego dorobku naukowego „Juwenalia” będą przeglądem dorobku kulturalnego i sportowego uczelni.

Najwięcej zainteresowania wzbudzą na pewno „Otrzęsiny” — widowisko historyczne utrzymane w stylu XVI-wiecznym, osnute na tradycjach Beania, a w treści swej nawiązujące do współczesnego życia studentów UJ. Scenariusz „Otrzęsin” napisał kol. Ireneusz Maślarsz, a nad jego szatą historyczną pracował również prof. Estreicher. Obok „Otrzęsin” w różnych punktach miasta występować będą zespoły dramatyczne, zespół poezji, chór, solisci, recytatorzy. Studenci wydziału prawa przeprowadzą podczas „Juwenalii” turniej krasomówny. „Juwenalia” — święto młodości i radości — wypełnią także zawody sportowe, które będą uroczystym zakończeniem.

niem ogólnouczelnianej spartaklady. 15 maja w dniu zakończenia „Juwenalii” przewidziane są między innymi wycieczki stawkami do Tyńca, a wieczorem w sali MKS odbędzie się zabawa przeplatana występami chóru i baletu.

Komitet Organizacyjny „Juwenalii” — na czele którego stoi rektor prof. dr Kazimierz Lepczy — ma ambitne plany: jego intencją jest, aby ta wielka impreza przedfestiwalowa stała się formą corocznego święta studenckiego. Inicjatywa piękna, godna poparcia i naśladowania.

*

Studenci krakowscy przygotowują się również do Ogólnopolskiej Olimpiady Szybkiej Orientacji. Na wielu uczelniach powstały już Komitety OSOSO, które przygotowują na zakończenie Olimpiady różnego rodzaju imprezy o charakterze rozrywkowym. Między innymi plastycy krakowscy organizują bal maskowy nawiązujący do tradycji żakowskich.

WE WROCLAWIU

Również studenci wrocławscy „odczuli” żakowską wiosnę. Na wydziale chemii Politechniki Wrocławskiej odbył się ciekawy wieczorek pod nazwą „Tęgo jeszcze nie było”. Na program wieczorku złożyły się występy zespołów artystycznych, liczne konkursy i zabawa. Ta pomysłowa impreza była czymś nowym w środowisku wrocławskim i cieszyła się u studentów powodzeniem.

Studenci wydziału prawa UBB przygotowują u siebie turniej krasomówny. Powstał już Komitet Organizacyjny, w skład którego oprócz studentów weszli również pracownicy nauki. Komitet opracowuje regulamin turnieju i przyjmuje zgłoszenia.

Na poszczególnych uczelniach powstały specjalne komitety festiwalowe, które w swoich programach mają ciekawe imr-czy o charakterze „Zakowskich Igraszek”.

W WARSZAWIE

Pomysłową koncepcję imprezy na wolnym powietrzu mają studenci warszawscy. Zamierzają oni zorganizować widowisko osnute na tradycjach żaków z w. XVII a treścią nawiązującą do współczesności. Cała impreza ma się odbyć na Rynku Starego Miasta o czym zawiadomili społeczeństwo Warszawy studenci przebrani za żaki i wędrujący ulicami miasta na osiołku.

W TORUNIU

Studenci Torunia również nie pozostają w tyle. Dwudniowy program Igraszek rozpocznie OSOSO i uczelniana zabawa, a później wieczorem raid stawkami po Wiśle z pochodniami i śpiewem.

W drugim dniu rozbawieni studenci razem z orkiestrą i zespołami artystycznymi popłyną stawkami do Orlęcyna (12 km od Torunia). Tam na leśnej polanie spożyją śniadanie (kuchnia wyjeżdża wcześniej) a później... Jedni będą tańczyć na specjalnie przygotowanym parkiecie, inni wezmą udział w występach zespołów artystycznych.

Amatorzy sportu skorzystają na pewno z boiska do piłki nożnej i siatkówki. Jednym słowem „żakowskie siłwuldia”. Radość będzie co nie miara. Ale i pracy jest sporo. Komitet organizacyjny chce żeby wszystko wypadło najlepiej i już przystąpił do działania. W jego skład weszli: prof. S. Jeśmanowicz, dyr. adm. Zdzisław Marzec, asystenci: kol. S. Soldenhoff i kol. D. Czapliski, przewodn. Zarządu Okręgowego AZS kol. Okniński, redaktor okręgowy POPROSTU kol. Z. Naj-

dowski oraz studenci Bogdan Górecki, Lech Wabia, Andrzej Wojtowicz, Alicja Lemir, J. Orientier i kol. Robaczewski.

W LODZI

Wielce o przedfestiwalowej Wiosnie Zakowskich Igraszek dotarli do uczelni łódzkich stosunkowo późno. Spotkali się jednak z życzliwym przyjęciem. Atmosfera robotniczej Łodzi sprzyja i rzetelnej pracy i wesołym zabawom. 21 maja, podobnie jak i w innych środowiskach, odbędzie się OSOSO. Studentów, biorących udział w Konkursie i przybyłych gości — czeka wieczór artystyczny, uświetniony występami łódzkich i warszawskich aktorów.

Wydział prawa Uniwersytetu Łódzkiego ma zaledwie 10-letnią tradycję. Tym chętniej wzbogacił Turniejem Krasomównym. Patronat nad Turniejem objęły ZU i ZW ZMP wydz. prawa, co niewątpliwie wpłynie na właściwą i pomysłową jego realizację.

*

Studenci Gdańska, Szczecina, Stalingrodu, Opola i innych środowisk!

Weźcie udział w przedfestiwalowej Wiosnie Zakowskich Igraszek! Pomyślcie, czy w Waszym mieście, uczelni, wydziale nie można urządzić równie pięknych, wesołych imprez?

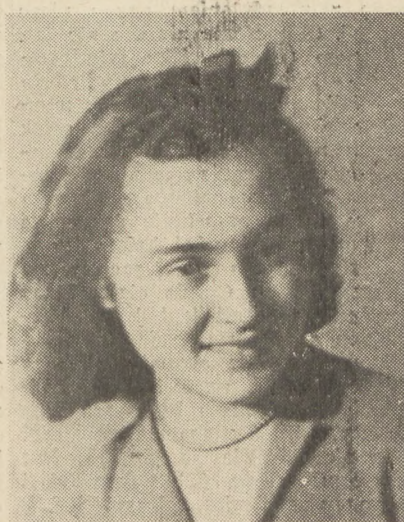
Czekamy na Wasze zgłoszenia, pomysły, inicjatywę!

Pamiętajcie! Wiosna Zakowskich Igraszek (mimo nieprzychylniej pogody) już trwa!

Kupon konkursu „Co będą studiować”									
1.	2.	3.	4.	5.	6.	7.	8.	9.	10.
Imię i nazwisko									
Dokładny adres									
Szkoła i klasa względnie uczelnia i rok studiów									



Zdjęcie konkursowe nr 11



Zdjęcie konkursowe nr 12



Zdjęcie konkursowe nr 13



Zdjęcie konkursowe nr 14



Zdjęcie konkursowe nr 15



Zdjęcie konkursowe nr 16

Dyskutujemy o systemie studiów (3)

Problem nie tylko czasu

Oddźwięki, z jakimi spotkały się zamieszczone w 14 i 16 numerze **POPROSTU** artykuły dyskusyjne w sprawie systemu studiów, przeszły wszelkie oczekiwania. Na uczelniach rozpętały się burzliwe dyskusje, a do Redakcji zaczęły napływać liczne listy, których autorzy z entuzjazmem niemal witają poruszenie na łamach pisma tak ważnego problemu, w mniejszym lub większym stopniu popierają tezy tych artykułów, wysuwają nowe problemy, podają dziesiątki przykładów ze swojego terenu.

Poruszone na łamach pisma sprawy żywo zainteresowały również nasze najwyższe władze i choć dyskusja na łamach **POPROSTU** dopiero zaczęła się — już obecnie wnikliwie rozpatrywane są postulaty wysunięte w dotychczas opublikowanych artykułach.

Wszystko to świadczy o tym, że problem pewnych wypaczeń w naszym systemie studiów stał się naprawdę palący i dlatego zainicjowana przez **POPROSTU** dyskusja trafiła na podatną glebę. Jest jednak pewne „ale”. Otóż podatna gleba ma również to do siebie, że oprócz pożytecznych roślin lubią się na niej rozwijać chwasty.

Z różnych uczelni dowiadujemy się, że niektórzy studenci postawienie do dyskusji problemu pewnych hamulców rozwoju naszego systemu studiów potraktowali jako... negację tego systemu. Spośród poruszonych przez nas spraw szczególnie jedna — sprawa dyscypliny studiów — stała się powodem takich nieporozumień. Oto niektórzy sądzą, że skoro **POPROSTU** zaczęło na ten temat dyskutować, to tym samym usprawiedliwieni są ci wszyscy, którzy lekceważą sobie obowiązkowe zajęcia na uczelni.

To chyba nie tylko nieporozumienie. Po III Plenum naszej Partii i II Zjeździe ZMP rozwijamy krytykę braków naszego systemu gospodarczego czy administracyjnego, naszej pracy polityczno-wychowawczej po to, aby ten system i tę pracę u m o c n i ć. Niestety, niektórzy zrozumieli to na opak, sądząc, że oto nadszedł okres ustępstw wobec starego i rezygnacji z naszych dotychczasowych zamierzeń. A wróg oczywiście nie zasypia gruszek w popiele: dzięki takiemu „męlikowi” w naszych szeregach próbuje krytykę niedociągnąć naszego systemu wykorzystać do swych podłych celów — do judzenia przeciwko podstawom tego systemu.

Podobnie rzecz ma się i w poruszanej przez nas sprawie dyscypliny studiów. Tylko głupiec może nie rozumieć, a wróg wypaczyć to, co wyraźnie powiedzieliśmy w pierwszych artykułach dyskusyjnych: socjalistyczna dyscyplina studiów nakładająca na studenta patriotyczny obowiązek rzetelnego i terminowego wywiązywania się ze swych obowiązków — jest i musi być nadal jedną z nienaruszalnych podstaw naszego systemu studiów.

System ten musi nadal służyć rozwojowi naszej gospodarki i kultury — dlatego nie chcemy żadnego powrotu do przedwojennej „liberalnej” koncepcji studiów; system ten musi służyć sprawie socjalizmu coraz lepiej — i właśnie dlatego krytykujemy jego braki i wypaczenia. Krytykę tę będziemy nadal rozwijać, będziemy publikować głosy reprezentujące różne stanowiska — po to przecież jest dyskusja.

WIESŁAW GŁOWACKI

BELLUM CONTRA OMNES ■ BELLUM CONTRA OMNES

Nowy Pepys w spódnicy

„Wyjechalam z Torunia o 15.45. Świetny, nowiutki wagon z Pafawagu. W wagonie restauracyjny tłok. Wyplam herbaty i zjadłam trzy kawalki szynki. Obok młody robotnik jadł potężny kotlet wieprzowy... W najbliższym miasteczku widać wiele nowych wózków dziecięcych. Wszyscy mają nowe letnie buty. Restauracja pełna”.

Prawda, jaki pasjonujący dokument epoki! Cóż za bogactwo obserwacji, jaki realizm szczegółów, któremu nawet szynka się nie wymknęła! A ile głębokiego, filozoficznego sensu w tym przeciwstawieniu — inteligencji, dzielne widelczykiem z talerzyka, plasterki szyneczki — i potężny, proletariacki kotlet wieprzowy!

Co to wszystko znaczy? A ho ja wiem. W „Twórczości” wydrukowano „Fragmety dziennika” Anny Kowalskiej. Cóż, dziennik, rzecz ludzka. Lubią go pisarze, artyści, dyplomaci, cieszac czytelników z własnych szaleństw i z wielkiej polityki. Dziennikom, pamiętnikom, wspomnieniom zawdzięczamy pośrednio i „Wojnę domową” Cezara, i utrwalone myśli Goethego, i kapitalne malowidła obywatelowe Samuela Pepysa. A nawet uczesne „Pamiętniki bywałą” Zaruby.

Wszystko to uznano za pretekst wystarczalny, aby na p l e t n a s t u stronach „Twórczości” zamieścić rozważania z których fragmentek cytowanym, i słusznie o nie przeczyć wzbogaciła nas autorka! Nie znaleźliśmy się w Weimarze, by obcować z autorem „Fausta”, nie napiełniał nas przerażeniem widok płonącego Londynu, nie kłamał nam o panu Samuelem, a uciecha — kolejna anegdota niemierniego Frania Fiszerza. Za to wiemy już, że Anna Kowalska jada w pociągu szynkę, że w styczniu 1951 roku przechadzała się z Żukrowskim w czasie pełni księżyca (ho, ho!), że w lutym przynała drzewka owocowe, że w maju spotkała na balu...

Dyskusja o cudach

Józef Mitkowski spróbował niedawno (Nr 9 „Tygodnika Powszechnego”) doświadczyć się bardziej ziemskich źródeł jasnogórskiej obrony w 1655 roku i postawił przera Korddeckiego. Czymże była obrona? „W gruncie rzeczy był to zatarg o obsadę prywatnej twierdzy taka czy inna załoga wojskowa. A ks. Korddecki był li tylko „czynnikiem i „przeżytkiem politykiem”, którego rola na le powszechniejszej atmosferze paniki i zdrady rysuje się jako dotadnia, mimo że pobudki działania sprowadzały się przede wszystkim do momentów natury wyznawczej i partykularnej, klasiorowej”.

Żnawaby więc, że wskazano na to, iż klasztorne złoto kierowało myśłami wielebnego przeora, nie jest żadnym przewinieniem. Tak sądząc jestście w wielkim błędzie. Według p. Świdarskiej („Tygodnik Powszechny” nr 14) człowiek niewierzący może pisać, że złoto determinowało czyn przeora Korddeckiego, ale „dla wierzącego jest całkiem jasne, że pobudka działania była tu właśnie niezłomna wiara w opiekę Matki Boskiej i to przekonanie, że nie gdzie indziej, jak w tym sanktuarium tkwi siła moralna, która zdolna jest cały kraj ocalić”.

Wiele dziwne się nie ma co, że mimo znajomości faktu, iż Korddecki sam się zrekłmował i na piedestał bohatera narodowego windował, podaje się jasnogórska mistyfikacja historii jako „czynnik wychowawczy” i „element pobudzający społeczeństwo do walki z ciemnością” i dalej wypomina p. Świdarska Mitkowskiemu, że ośmielił się, wiedząc „wy-

Wydawca: Instytut Prasy „Czytelnik”.
Redaguje kolegium.
Adres Redakcji: Warszawa 18, ul. Wiejska 17/1. Telefon: red. nac. — 841-24. Centrala 832-91.
Prenumerata **POPROSTU** miesięcznie — zł 1,40, kwartalnie — 4,20, półrocznie — 8,40, rocznie — 16,80.
Administracja: RSW „Prasa”, III Delegatura, Warszawa, ul. Marszałkowska 8, tel. 807-11.
Drukarnia: RSW „Prasa”, Warszawa, Marszałkowska 3/5.
Zam. nr 904. B-6-5282

Przypomnijmy sobie na wstępie jedno z czterech działań arytmetyki. Spróbujmy zorientować się z olówkiem w rękę jak wygląda tydzień przeciętnego warszawskiego studenta, który systematycznie uczęszcza na wykłady, zawsze bywa przygotowany do ćwiczeń i seminariów, codziennie czyta prasę, należy do Partii lub do ZMP oraz pełni jedną z mniej odpowiedzialnych funkcji w ZMP lub w ZSP. Oto nasz rachunek jednego tygodnia:

Wykłady i ćwiczenia	— 36 godz.
Przygotowanie do wykładów i ćwiczeń	— 18 godz.
Zebrań ZMP i odprawy	— 3 godz.
Dyżury i praca społ.	— 6 godz.
Konsultacje, zebrań koła naukowego	— 2 godz.
Obiad w stołówce	— 6 godz.
Dojazdy (ok. 90 min. dziennie)	— 9 godz.
Załatwienie spraw administracyjnych itp.	— 4 godz.
Czytanie prasy	— 3 godz.
Razem — 87 godzin tygodniowo.	

Po podzieleniu przez sześć dni tygodnia otrzymujemy cyfrę 14,5 — to znaczy, że student, który wychodzi z domu o godz. 8 rano (a więc wstaje o 7) ma wolny czas o godz. 22 min. 30 (może wtedy zjeść, kolarczyk i iść spać). Trzeba wziąć pod uwagę także to, że licząc oszczędnie bo według przytoczonego wyżej ramowego rozkładu zajęć student ma 36 godzin obowiązkowych zajęć tygodniowo, lecz są wyjątki, na których liczba godzin wykładów i ćwiczeń dochodzi do 48.

Spytacie pewnie jak to się dzieje, że studenci jednak bywają na odczytach, czasami chodzą do kina lub do teatru, a nawet zdarza się, że czytają książki. To bardzo proste: albo uczą się w nocy, co po dłuższym okresie czasu odbija się na ich zdrowiu, albo po prostu łamią dyscyplinę studiów i ryzykują zawarcie bliższej znajomości z Komisją Dyscyplinarną.

W czasie wykładów przeważnie (choć na szczęście nie zawsze) podaje się studentom wiedzę w formie definicji, faktów i dat — wszystkim najęzyczliwiejszym

którym najczęściej towarzyszą dźwięczne epitet: „ładak”, „łgarz”, „duren”. Mogłoby się może w tym czasie przekonać, jak wyglądają w innych dziennikach ustępy poświęcone (Annie) Kowalskiej.

Tak, tak — różnym ludziom dane jest nacielenie... Doprawdy, żal je zmarnować — ten kotlet wieprzowy i szynka są jednak urzekające... Czy nie warto by teraz napisać dzieła „Zarys gastronomii politycznej” lub „Nowa Cwiciakiewiczowa. czyli 365 obiadów proletariackich”?

A. D.

Po dwakroć protestuję

Byłoby wszystko w porządku, gdyby nie... tu właśnie ja z kole! muszę zaproteścić i to po dwakroć, bo:

1) Autorem cyfrowego wiersza jest nie Woroszyński, lecz Tadeusz Śliwaki.

2) Wiersz ten pt. „Miłość” niedawno drukowany był właśnie na pierwszej stronie... **POPROSTU**, koledzy redaktorzy.

Podobną gafą może się „pochwalić” również śląski tygodnik z tekstem Tadeusza Śliwaka, podając jako autora tekstu... Tadeusza Kubiaka. Obecnie z niepokojem czytam wszystkie pisma, sądząc, że znaję tam wiersze tego wrednego i ambięnego poety podpisane na zwiszkim jego kolegów po piórze. Ale nie wiem, czy ta metoda pozwala najlepiej orientować się w twórczości naszych młodych pisarzy.

LIDIA AKERMAN

Kraków

Modlitwa na wypadek

Prawdziwym utraپieniem mieszkanców Republiki Bońskiej oraz innych okupowanych przez Amerykanów krajów Europy zachodniej są „wczynny” amerykańskich szoferów. Prasa (amtejsza) publikuje codziennie długie listy ofiar „kowbojskiej” jazdy Amerykanów. Myślę się jednak ten, który sądziłby, że

wody... ściśle obiektywne” i śląc „ukłon wycieczny” lansować na łamach „Tygodnika Powszechnego” prawdziwe twierdzenie, że „religia to opium dla ludu...” (wzrost to świat). Prawda w oczy kole. I wypadnie szanownej autorce zwrócić uwagę, że właśnie jej wypowiedź jest ze wszelkim miar interesującym potwierdzeniem tych słów marksistowskich.

Właśnie fałszowanie historii oraz łaska boża uświadczenie i oczyszczanie pobudek jasnogórskiego przeora — to jest opium. „Polonia semper fidelis” miała to niezwykle szczęście, że wszędzie tam, gdzie wazyły się jej losy, cuda miały miejsce i spełniały okropną, w rachowaną i perfidną rolę: na przykład biskupa zdradzący cuda się działy, nad Wisłą cud się stał, a niedawno temu w Lublinie zaiste także cuda miejsce miały. TK

S. W.

W klatce jest słoń!

Życie składa się ze spraw wielkich i małych. Gziketa — z zasadniczych artykułów i kilkunastowierszowych notatek. Małych spraw na ogół nie lekceważymy, potrafią o sobie przypominać — jak przypominają się organizatorom Festiwalu brak ustępów w naszym mieście. Małych notatek z przedostatniej strony chętnie szuka ciekawy czytelnik (znam takich, co w **POPROSTU** czytają tylko „Bellum contra omnes”). Atoli redakcje...

„Nowa Kultura” poświęca cały numer Majakowskiemu. Są w nim nowe przekłady, wybrany fragment z biograficznej książki Kassila (który pewien poeta, strzegący radośnie swego, jedynie w Polsce egzemplarza, zdecydował się udostępnić ogółowi). Jest z pasją napisany wstępnik Lasoty. Jednym słowem — kunować i czytać co się komu podobaj.

Tylko ostrożnie — skoro bowiem do trzeciej zaś reprezentacyjnych kolumn do przedostatniej strony, znajdziecie w niewinnym artykuliku kol. Teresy Kwiecińskiej rozwielcone laso. Oto wieszcie się, miłośniku poety, że między książkami, na których przekład czekać, ukrywają się tajemnicze dzieła Kataniana „Majakowski a kronika literacka”. Zaciękaliony, w jakichś to stosunkach pozostawał znakomity poeta z tajemniczą „Kroniką” (wydawnictwo? czasopiś...)

... co wykonują rzeczy drobne, mniej widoczne, jak krawiec Kopernika, zapominamy, gdy Mikołaj pecha ziemię, on idę nawleka.

— ale, daliśmy, koleżanko Kwiecińska, Was to nie dotyczy, A. D.

stkie zagadnienia są już wybrane starannie, posegregowane i zinterretowane, nie ma kwestii niewyjaśnionych lub dyskusyjnych — studentowi pozostaje tylko wysłuchać, zanotować i dokładnie, jak najdokładniej nauczyć się. Rzecz jasna — przy dużej ilości obowiązkowych zajęć inny sposób uczenia jest niemożliwy. Skutki bywały jednak opłakane: przeciętnie zdolny student po roku zaczyna przyjmować bezkrytycznie wszystkie słuszne i niesłuszne tezy, zasłyszane lub przeczytane w opracowaniach naukowych, po drugim roku — traci zainteresowanie swoim przedmiotem studiów, a po trzecim — jest tak przemęczony i zniechęcony, że marzy o tym, by jak najprędzej skończy studia.

Przy takim systemie nauczania studia uniwersyteckie nie wymagają od studentów żadnego prawie samodzielnego wysiłku umysłowego, a trzeba przecież liczyć się z tym, że młodzież, która dziś studiuje na uczelni, ma za sobą lepiej lub gorzej opanowany, ale systematyczny kurs szkoły średniej i możemy od niej wymagać większej samodzielności, niż od starszych — poprzednich roczników, mających spowodowane wojną luki w wykształceniu. System nauczania jaki był słuszny i konieczny w 1948 i 1949 r. z uwagi na bardzo różnorodny poziom naukowy ówczesnych studentów — dziś już nie jest słuszny.

Niewiele przyczynia się do rozwoju umysłowego studentów umieszczenie w programie studiów historii filozofii, zorganizowanie wykładów i najlepiej prowadzonych seminariów, jeżeli studenci z konieczności ucząc się od egzaminu do egzaminu nie mają czasu na przemyślenie tych tak w życiu potrzeb-

Nie chcemy „nauki dla nauki”

Dużo obecnie mówi się i pisze o zmianie systemu studiów, a zwłaszcza o zmianie form dyscypliny; należałoby też podyskutować nad zmianą sposobu nauczania. Jest rzeczą ogólnie znaną, że wykłady i ćwiczenia powinny być podkładem, zaledwie przygotowaniem do właściwego studiowania, które każdy student powinien przeprowadzać samodzielnie. A jak to wygląda w praktyce?

Gdybyśmy przeprowadzili ankietę na pytania: Ilu studentów czyta jakiegokolwiek lektury nadobowiązkowe, ilu prenumeruje czasopisma fachowe, ilu zna najnowsze zdobycze nauk rolniczych — wyniki jej byłyby opłakane. Nasze obecne studiowanie polega na tym, że odrabiamy ćwiczenia czasem się do nich przygotowując (gdy jest czas), do egzaminu czytamy zaś notatki z wykładów lub obowiązujący skrypt.

Studiujemy rolnictwo. W żadnej chyba dziedzinie nauk nie zachodzą tak ogromne i szybkie zmiany jak w rolnictwie. Każdy rok przynosi nowe problemy do rozwiązania, nowe doświadczenia i osiągnięcia. Jest jeszcze jedna odrębność nauk rolniczych: te same prawa, systemy mogą być słuszne lub niesłuszne zależnie od miejsca i warunków ich zastosowania.

Tymczasem wykłady na naszej uczelni nacechowane są dogmatyzmem. Podaje się nam najczęściej te wiadomości, które są już pewne, ustalone. Wykładowcy przekazują materiał jednostronnie, bez uwzględnienia różnych koncepcji czy poglądów w stosunku do jakiegos problemu, a to jest przecież spłykanie zagadnienia. Prawie nigdy profesor nie rzuci w czasie wykładu jakiegos pasjonującego problemu, którym zajmują się w danej chwili naukowcy, problemu, który by nas specjalnie zainteresował, który pobudziłby nas do szperania w literaturze.

Dlaczego np. żaden z profesorów nie wspominał nam o nowym, rewelacyjnym systemie uprawy ziem Malcewa? Na naszej uczelni stu-

nych, a przecież nietatwych problemów. Wynik jest taki, że ostatecznie, po zdaniem egzaminie, w pamięci pozostaje kilka nazwisk i parę formulek, którymi można w najlepszym razie zaimponować ciotkom — snobom na uroczystości rozdzielnej. Tak samo jest z logiką, z historią literatury polskiej, z filologią obcą i z wieloma innymi tzw. przedmiotami pomocniczymi.

Nie jestem przeciwko przedmiotom pomocniczym, ale przeciw powierzchownej, nieugruntowanej wiedzy, przeciwko dyktantyzmowi idącemu w parze z nudą i bezieowości. Czy nie lepiej byłoby zamiast wymagać uczęszczania na wszystkie bez wyjątku wykłady ustalić (przynajmniej na wydziałach humanistycznych) rozsądne minimum wykładów do wysłuchania i ćwiczeń koniecznych do zaliczenia semestru, traktując uczęszczanie na resztę zajęć jako dobrowolne? Wtedy wykłady i ćwiczenia pokrywałyby się z zainteresowaniami studenta. Przemawia za tym bardzo poważnie fakt, że studenci wydziałów humanistycznych zwolnieni z obowiązku uczęszczania na wykłady — choć pracując zawodowo — osiągają przeważnie takie same wyniki w nauce — jeśli nie lepsze — jak ich koledzy, którzy systematycznie uczęszczają na wykłady.

Zależy nam chyba nie tylko na tym, aby absolwenci uczelni byli dobrymi fachowcami; wcale niemniej ważny jest ich poziom intelektualny, wrażliwość na piękno dzieła sztuki, umiejętność obronienia swojego światopoglądu w dyskusji nie tylko przy pomocy wyczuonych na pamięć cytatów. Nie zapominajmy także o tym, że dla wielu studentów przybyłych ze wsi i małych miasteczek pobyt w Warszawie ma

bardzo duże znaczenie także i dlatego, że stolica jest obecnie największym ośrodkiem kulturalnym w kraju. Trzeba im tak zorganizować studia, by mogli jak najpełniej wykorzystać czteroletni pobyt w Warszawie dla zapoznania się z kulturą i sztuką poiską oraz zagraniczną.

Podany wyżej rozkład zajęć przeciętnego studenta wyjaśnia również, dlaczego zdarza się, że absolwent matematyki pisze z błędami ortograficznymi, dlaczego studentka drugiego roku trzeciego roku polonistyki nie orientuje się we współczesnej literaturze polskiej, a przyszły pedagog nie ma czasu by zapoznać się z teatrem i literaturą dziecięcą. Przeładowany plan zajęć oraz brak szacunku dla naszego czasu ze strony tzw. „czynników” powodują, że studentem po prostu nie starcza go na czytanie książek beletrystycznych, oglądanie sztuk teatralnych, wystaw malarskich, a nawet na stosunki towarzyskie, które jak wiadomo odgrywają nieamałą rolę w uzupełnieniu ogólnego wykształcenia. Nie jest to sprawa błaża, zważywszy, że nasze uczelnie kształcą ludzi, którzy mają w przyszłości oddziaływać na społeczeństwo, kształtować jego poglądy, tworzyć narodową kulturę. Jaki będzie ich stosunek do społeczeństwa, jaka będzie nasza kultura, skoro z uczelni wyniosą atmosferę bierności i nudy?

Piszę to wszystko nie dlatego, że chcę sprawić radość tym, którzy studiują tylko dla dyplomu i z zadowoleniem witają wszystko co umożliwia łatwe i beztrudne życie. Piszę po to, by pomóc tym, którzy rzeczywiście chcą jak najwięcej się nauczyć — a takich jest większość.

I. STRYJEWSKA

Uniwersytet Warszawski

wo — badawczych, ale należy to do wyjątków. Nie dziwne, że wykłady prowadzone w ten sposób dają dużo korzyści studentom i cieszą się największą frekwencją (np. wykłady z gleboznawstwa, czy uprawy łąk i pastwisk). Wiele z naszych profesorów wyjeżdża często za granicę, np. w ub. roku byli we Francji, Danii, Bułgarii, w ZSRR — lecz żaden z nich nie wspominał nam ani słowem o osiągnięciach nauk rolniczych w tych krajach. Studenci o podróży swoich profesorów dowiadują się dopiero z prasy.

A teraz inna sprawa, niemniej wiążąca się z poprzednimi. Zdarza się u nas jeszcze tak, że podaje nam się wiadomości o wiele szerzej traktujące o teoriach lansowanych na Zachodzie (np. z genetyki), a o twórczej miczurinowskiej genetyce — bardzo mało. Przykładem mogą być wykłady z hodowli roślin, gdzie dopiero na żądanie studentów IV roku profesor mówił bardziej szczegółowo o pracach Miczurina i Lysenki, wykłady z zoologii na pierwszym roku studiów: mówi się w nich studentom o wszystkim innym tylko nie o ewolucji.

Zdajemy sobie sprawę, że w dużej mierze ponosi tu winę wadliwy program studiów. Z jednej strony jest w nim wiele niepotrzebnego balastu, a z drugiej — brak powiązania z życiem. Odnosi się wrażenie, że chodzi tu o „naukę dla nauki” — jednym słowem szkoła tracąca trochę średniowieczną scholastykę. Program studiów jest tak przeładowany, że naprawdę mamy bardzo mało czasu, aby twórczo przyswajając sobie wiadomości i poznać z lektury różne problemy.

Jesteśmy przekonani, że mamy prawo żądać od Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego zmiany programu studiów rolniczych, a od naszych profesorów — lepszych, bardziej interesujących wykładów, powiązanych z praktyką rolniczą.

GRUPA ABSOLWENTÓW I STUDENTÓW WYŻSZEJ SZKOŁY ROLNICZEJ W KRAKOWIE

tygodnie na kurs (który np. mógłby odbywać się na Winogradach) niż prawie trzystu studentom — na wykłady. Biorą oni codziennie środki miejskiej komunikacji, która i tak nie kursuje sprawnie.

Wierzymy głęboko, że MRN w Poznaniu naprawi swoją pomyłkę i przywróci studentom ich własność, a na ośrodek szkolenia znajdzie inne pomieszczenia.

(na podstawie korespondencji zbiorowej studentów SI w Poznaniu)

REKTOROWI AKADEMII MEDYCZNEJ W ŁODZI

Rzucmy okiem na salę biblioteczną Uniwersytetu Łódzkiego. Czysto, schludnie, zacisznie, ale, o dżiwo, nie medyków. Czyżby nie mieli własnej biblioteki? Mają, mają, lecz — niestety — wnetrze jej przedstawia jeden wielki obraz brudu i rozpacz: brud, brud i jeszcze raz brud, kapłany nawet z sufity mieszczeni. Przy stałe wznoszącej się kłębów nowych wydawnictw w jednej sali muszą się pomieścić: biblioteka lekarska, studencka, czytelnia czasopism no i wyżywienie. Ciągłe rozmowy w wypożyczalni, turkot dobiegający z ulicy, niedostatecznie izolowane okna stwarzają, owszem, warunki przydatne prawdziwej kuchni, ale nie dla kuchni nauki.

Pracownicy biblioteki wraz z kierownikiem wykazują anielską cierpliwość i spieszą zawsze z serdeczną pomocą i radą. Administracja uczelni zaś mimo ciągłych interwencji i skarg nie zważa na pozostającą nadal w głębokim śnie zimowym. Znajduje finanse na remont ieleń pomieszczeń (np. dziekanatu), ale o bibliotece zapomina.

J. BARANOWSKI

AM — Łódź

Ledykujemy:

BIAŁOSTOCKIEMU PRZEMYSŁOWEMU ZJEDNOCZENIU BUDOWLANEMU

Istne procesje komisji od dłuższego czasu nawiedzają Dom Studencki. Mieszane i fachowe, większe i mniejsze, z Warszawy i Białegostoku. A wszystko przez czyjeś nieuctwo lub niedbalstwo.

Wykonawcy zrzucają winę na projektanta z Warszawy, projektant na wykonawców z Białegostoku. Dach na niedawno budowanym „Akademiku” jak ciekli, tak cieknie; studenci jak mieszkali w komisie ciągle radzą nad przyczynami zła, nad sposobami załatwienia dachu, nad kosztami z tym związanymi itd.

Powstawały różne teorie tego stanu rzeczy. Najpierw, że to studenci chodzą po dachu. Okazało się, że nikt tu nie jest lutyńskim i że to nie studenci winni. A więc następna teoria: wada konstrukcyjna, potem znów: zły materiał na pokrycie dachu, potem: za waskie rynny itd.

Na delegację, diety, wypłaty członkom komisji — za zmarnowane godziny przy wyszukiwaniu „przyczyn” — tyle poszło pieniędzy państwowych, że można by budować całkiem nowy dach. Pospiech tym bardziej byłby wskazany, że za kilkanaście miesięcy koszty naprawy wzrosną co najmniej dwukrotnie. Nie wiedzą tylko o tym „radzące komisje”, a dach jak na złość uparł się i już trzeci rok cieknie i to coraz bardziej. Chcielibyśmy wie-

dzieć, jak szybko to się zmieni, bo doprawdy wilgoci mamy już dość.

Dla orientacji podaję, że projektantem jest inż. Nilsch-Junior z Warszawy, a wykonawcą — Białostockie Przemysłowe Zjednoczenie Budowlane.

HENRYK MIKSZA

AM — Białystok

WOJEWÓDZKIEJ RADZIE NARODOWEJ W POZNANIU...

„Biliza kosztu ciatu niżeli sukmana” — mówi stare i mądre przysłowie. Wiedząc że właśnie zasadą kierowała się Miejska Rada Narodowa w Poznaniu, odbierając studentom Szkoły Inżynierskiej piękny dom akademicki, położony dokładnie naprzeciw tej uczelni.

Wspominany dom został przeznaczony na ośrodek szkoleniowy Wojewódzkiej Rady Narodowej. Z kursu korzysta za ledwie 30 osób, co jest przyszłościową wadą, w mrozu w porównaniu z liczbą 260. Taka bowiem ilość studentów znajdowała tu przedtem pomieszczenie. Teraz rozkwatowano ich po odległych dzielnicach miasta i oddał studenci zmuszeni są codziennie dojeżdżać na zajęcia, tracąc drogienny czas i pieniądze, nie mówiąc już o tym, że zostali pozabawieni warunków do nauki. Tym bardziej jest przykre dla studentów to, że dom przeważnie świeci pustkami, kurs bowiem trwa nie dłużej niż 2 — 3 tygodnie i upływa sporo czasu zanim zostanie zorganizowany następny.

Łatwiej chyba nawet najbardziej godnym 30 obywatelom dojeżdżać przez 3

POPROSTU 7



„pozostali siedzieli w ubikacji na oknie”.

Kiedy czasami bywam we wspaniałym gmachu dziesięcioletniej Akademii Sztuk Plastycznych na Krakowskim Przedmieściu, przypominam mi się okropna ruina Szkoły Sztuk Pięknych, do której uczęszczałem w latach 1910–1913. Mieściła się ona przy ulicy Hożej 33. Dziwnym jakimś zarządzeniem losu dom ten ocalał i pominie zagłady, które zniszczyły Warszawę, nawet go nie liczyli. Można też dziś na własne oczy oglądać obok cuchnącego ustępu koślawe schody, które prowadziły do tej Alma Mater Sztuki. Wystarczy wejść w bramę, pociągnąć nosem i spojrzeć w prawo.

Tam właśnie, zaraz po przyjeździe do Warszawy w roku 1910, skierowałem swe kroki. Strach przed egzaminem i trema czy mi się uda dostać do profesora Lentza, okazały się płonne. Po minimalnych formalnościach i po wpłaceniu pewnej sumki, wożny zaprowadził mnie po prostu do profesora. Udać, że naga modelka jest dla mnie chlebem powszednim, z wypiekami na twarzy wziąłem się do rysowania.

Już w pierwszym tygodniu poby-

tu w szkole od razu wciągnięto mnie do pracy przy urządzaniu balu Młodej Sztuki. Przygotowania te trwały parę miesięcy. Malowanie modeli, dyskusja nad impresjonizmem — odgrywały raczej rolę drugorzędna. Bal Młodej Sztuki był głównym tematem zainteresowań ciała profesorskiego i uczniów.

Trzeba przyznać, że bal wypadł imponująco. Pretensjonalny przepych przeładowanych złoconymi i płaconymi sal ówczesnej Filharmonii Warszawskiej zamienił się w ciągu paru godzin w krainę czarownic baśni z jakichś polskich „Tysiąc i jednej nocy”. Cały sufit zawieszony siecią rybacką z cekinami naświetlono kolorowymi kwiatami. Stylowe, zaimprovizowane z kolorowych bibulek stroje młodych malarzy i wspaniałe toalety tłumy warszawskich elegantek podnosiły jeszcze bardziej zjawiskowy niemal urok tego balu nad balami. Studenci gospodarze oczywiście występowali we frakach i lakierkach. Nie trzeba chyba dodawać, że fraki były wypożyczone na Świętokrzyskiej, a lakiery kupione na Kercelaku. Ponieważ gospodarzy było 12, a tylko 4 fraki, podczas gdy dyżurna czwórka przebrała za lordów pel-

nila honory domu na sali, pozostali siedzieli w ubikacji na oknie w skarpetkach i półkoszulkach.

Koleżanki wybrały lepszą dolę. Miały fantastyczne krynoliny z biulek, a choć pod koniec balu wszystko to było w strzępach — wyglądały czarująco. Widocznie były przygotowane na wszelkie ewentualności.

Jeszcze długie miesiące mówiło się o tym balu. Był on nie tylko „gwoździem” karnawału, ale i jedynym sposobem uzyskania funduszu na zasilenie „Bratniaka”. Były to bowiem czasy „bryndzy” wśród młodych artystów, czasy wykrywanych obcasów i łatanych portek. Nie było ani stypendiów, ani pomocy państwa. Pieniądz przychodził z trudem, zarobki były minimalne. Posiadanie futra było rzadkością nawet wśród profesorów. Opowiadają, że znakomity rzeźbiarz Ksawery Dunikowski, po sprzedaniu jakiegoś luksusowego nagrobka postanowił nabyć futro. Udał się do modnej wówczas firmy kuśnierskiej Chowańczuka.

— Chciałbym futerko — mówił wrzuszony profesor.

— Jakie futro pan by sobie życzył?

— No, naturalnie zimowe — odpowiedział Dunikowski, tak, jakby istniały i letnie futra.

Ale wróćmy do Szkoły. Dyrektorem był wtedy Lentz. Profesorami: Konrad Krzyżanowski, Stanisław Pieńkowski, Stanisław Sławiński, Edward Trojanowski i Karol Tichy.

Stosunki w Szkole, jej osobliwość i typy dość dobrze odmalowywała szopka uczniowska, urządzana corocznie w okresie karnawału. Oto np. postać woźnego, administratora, dozorcę, elektrotechnika, a nieraz modela w jednej osobie. Śpiewał on:

Jestem ja Kowalski
Niby za woźnego
Ale tutaj w szkole
Jestem od wszystkiego.
Kiedy jakiś mebel trząśnie
Albo elektryka głośno
Kowalski wnet poradzi
radzi, radzi.
Dzień w dzień pan Kowalski
Bardzo jest zajęty
Tu rób im korektę
Tam leć do Zachęty
Czasem trzeba umocnić belkę
Lub pozować za modelkę —
Kowalski wszystko może
może, może.

Piosenka mistrza Dunikowskiego miała fragmenty dość pikantne, np.:

Jestem ci ja rzeźbiarz
Klasa wśród rzeźbiarzy
Różę w drzewie, kamieniu...
No i gdzie się zdarzy...

Dyrektora Lentza charakteryzowały następne strofy, które nuciła kukielka na nutę „Pije Kuba”:

Lubię kawior i Rembrandta
A nawet i Zorna
No i trochę tych smarkaczy
Choć to młódz niesfora.

Laleczka młodej malarki śpiewała:

Dawniej każda panieneczka
Była cacy, jak laleczka.
Dziś w fartuchu z pendzlem w dłoni

Za „siuzetem” ciągle goni.

Co prawda nie tylko za „siuzetem”. Goniły one też często za męzami, co im się nawet od czasu do czasu udawało.



„zwycięzca konkursu miał pół brody...”

Byłem bodaj najmłodszym spośród kolegów, a wrodzona nieśmiałość powodowała, że trzymałem się nieco na uboczu. Niemniej jednak z wieloma kolegami łączyła mnie szczerza przyjaźń i wspólne przeżycia. Z rozróżnieniem wspominam wiele z nich i po dzień dzisiejszy.

Nie brak tu było typów, pozorów i oryginałów. Mentalność, styl życia, wygląd kształtowały się pod dwoma dominującymi wpływami:

Krakowa i Paryża. Szkoła krakowska stylizowała się na „peleryniarzy”. A więc zaniedbany czarny strój, kapelusze z szerokim rondem i obowiązujący „fontaż”.

Grupa paryska nosiła meloniki, wymyślne sakpalty, monokle — słowem dandyzm na całego. Widok peleryniarza budził niepokój wśród „dobrze myślących” obywateli. Nie trzeba zapominać, że nie były to czasy spokojne. Po 1905 roku ferment rewolucyjny dojrzewał; carscy szpicle i policja mieli ciągle pełne ręce roboty. Ulicami od czasu do czasu przejeżdżały kozackie pikiety, po mieście krążyły patroli.

Jeden z peleryniarzy Henio Czarzyński szedł sobie z kasetą do szkoły. Odmawiał się on małym wzrostem i dumną twarzą o fascynujących, czarnych oczach. Widok faceta w szerokoskrzydłym kapeluszu anar-

chisty, dźwigającego coś pod włokącą się po ziemi pelerynę, zwrócił uwagę przechodzącego patrolu, który miał rozkaz legitymowania i rewidowania podejrzanych wyglądających typów. Zatrzymano go i zapytano, czym się zajmuje. Speszony i przerażony widokiem brodatych olbrzymów z bagnietami, niezbyt mocny w języku rosyjskim, Czarny poplątał podobno do siebie słowa i zamiast powiedzieć: ja chudoznik (at-

ysta malarz) powiedział: ja kudieśnik (czarodziej - wróżbita).

— Ot podlec, czym to się zajmuje — wykrzyknął „unteroficer” i zabrano Henia do cyrkułu, gdzie podobno musiał kosztować wszystkich farb z tub malarskich.

Po karnawale i trudach zimowych studiów brać malarzka udawała się na łono natury; na pejzaż do Kaziemierza nad Wisłą, w Góry Świętokrzyskie na tzw. „plenery”. Wielu z kolegów jeździło do słynnych Rybiniszek, gdzie istniał ufundowany przez Kierbedziową pierwszy bodaj w Polsce dom pracy twórczej dla młodych malarzy nie posiadających funduszy na letnie kanikuły. Działy się tam podobno dziwne rzeczy. I o korytarzach starego dworu po północy snuły się jakieś strachy w biegi. Słyszano jęki i zawożenia. Mniej romantycznie usposobieni koledyżni może i przez zadróżkę rozspypywali po podłodze pineśki, co miało hamować harce nocnych zjaw i strzegło do pewnego stopnia cnoty koleżanek.

W okresach deszczowych towarzystwo nudziło się setnie. Dla zabicia nudów ogłaszano najdziwniejsze konkursy. Np. „na najoryginalniejszą męską koafiturę”. Do stołu zasiadała wówczas istna banda wariatów. Ten miał ogolone pół głowy, ów nosił warkocze. Jeden — zwycięzca konkursu miał pół brody, a drugi — pół wąsów, systemem krzyżowym.

Nowicjuszy, którzy po raz pierwszy przyjeżdżali do Rybiniszek, na bierano na tak zwane „frycowe”. Kiedyś np. zjawił się tam pewien pejzazysta, jedyny zdaje się „poin-telista” w Polsce, niejaki Jarosław. Powiedziano mu, że obowiązują tu zwyczaje przedstawiania się gospodyni w czasie pierwszego obiadu. Toteż kiedy wspaniała zupa z mięsem ukazała się na stole, Jarosław wstał i kłaniając się gospodyni powiedział:

— Proszę pani, jestem Jarosław!

— A cóż pan sobie myśli, że będą dla pana osobną kuchnię prowadzić? — zawołała oburzona.

Kiedys dwóch kolegów pokłóciło się o jakiś blejtram. Doszło nawet do rękoczynów. Postanowiono urządzić pojedynek, i oświadczoneo jednemu z nich, żeby się przygotował, bo pojutrze będą się bić. Nie znał „kodeksu honorowego”:

— Jak to? — powiedział zdumiony — przecież myśmy się już bili.



Sport



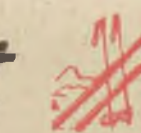
Sport



Sport



Sport



Sport



Rozwiązać AZS?

Korespondenci sportowi donoszą:

BARBARA KOŁACZ

Pod tym zaskakującym tytułem nadesłano list do redakcji. Autor kryjący się za kryptonimem „Opinia wielu” pisze:

„Student przychodzi na uczelnię na okres 3 — 4 lat. Później idzie do produkcji, do zakładów naukowych, urzędów itp. Z góry więc zakładamy, że pieniądze AZS, trud trenerów i działaczy, włożone w zawodnika, przechodzą jako poważny kapitał do innego Zrzeszenia...”

„Inne Zrzeszenia mają o wiele lepsze warunki niż AZS, dysponują wielo obiektami, otrzymują wysokie dotacje od odpowiadających im branżowo związków zawodowych, mogą zapewnić kadry mieszkanki, dobre uposażenie...”

„Ocena punktowa AZS przez GKFF nie uwzględnia faktu, że studenci działają w czasie wakacji łapią same walkoweru... bo rozjeżdżają się na studium wojskowe, na praktyki, do domów itp. Np. tabela rozgrywek ligowych piłki nożnej wyklucza całkowicie możliwość uczestniczenia w nich drużyn AZS...”

„na uczelniach wprowadzono studium wychowania fizycznego i każdy student mający zainteresowania w tym kierunku, może ćwiczyć i trenować i nie chce, a ma na to nawet czas przeznaczony przez władze uczelni! Wyczynowcy znaleźli by swe miejsce w klubach związkowych...”

Przy omawianiu tego listu w redakcji zdania były podzielone: jedni uważali, że tak jak autor listu — myśli niejedną aktywnością sportową, nie wyłączając działalności tak wysokiej instancji jak GKFF, tylko się z tym publicznie nie ujawnia. Drugi stanowczo twierdził, że za „Opinią wielu” kryje się jakiś zapalony kibic Sparty.

Dosłaliśmy jednak do poroczenia: o ile ogólny wniosek listowych wywodów jest absurdalny, to nie bez przyczyn anonimowy korespondent rozważa nad niektórymi „zakulisowymi” sprawami AZS. Wiadomo, że sytuacja finansowa Zrzeszenia nie jest najlepsza, a co za tym idzie — daje się odczuć w kołach brak sprzętu, wiadomo, że np.

CWKS zapewnia zawodnikom I klasy lepsze warunki materialne. Uprawiania sportu, że punktacja w niektórych dyscyplinach sportu jest dla AZS bardzo niedogodna itd. Nie ma jasności jak powinna układać się współpraca między uczelnianym kołem AZS a Studium WF. Wszystko to są problemy, o których dyskutuje się „na okrągło”. Trzeba wreszcie wyciągnąć te „wstydlive” sprawy na wierzch i spróbować rozprawić się ze szkodliwymi teoryjkami.

Proponujemy likwidacji Zrzeszenia wtedy, gdy polityka naszej Partii idzie w kierunku coraz szerszego umasowienia sportu, decentralizacji i docierania ze zbóżami kultury fizycznej do wszystkich grup społeczeństwa, i gdy sport studencki szczyty się coraz lepszymi rezultatami — jest co najmniej nie logiczna.

Białozielona flaga AZS niejednokrotnie powiewała na stadionach ZSRR, NRD, Rumunii, Bulgarii, Węgzech, Austrii, Belgii, Francji i wielu innych krajów. Polski sport studencki cieszy się za granicą wielką popularnością. Nazwiska: Kocerka, Potrzebowski, Lewandowski, Stawczyk, Dziedzic — zdobyły zasłużoną sławę na arenie międzynarodowej, liczne zwycięstwa drużyn AZS w piłce siatkowej i koszykowej, prymat w wioślarstwie, czołowe pozycje w szermierce, żeglarskiej, narciarstwie i lekkiej atletyce, świadczą o wysokim poziomie zawodników AZS.

Stanowczo występujemy przeciwko wycinkowemu i szowinistycznemu traktowaniu pracy ze sportowcami „dla chwały Zrzeszenia”, bez widzenia ostatecznego celu — podnoszenia kultury fizycznej w kraju. Treścią naszego sportu, jego głównym zadaniem jest: wychować zdrową i silną młodzież umiejacą żyć w kolektywie i kierującą się zasadami szlachetnej rywalizacji. Zawody sportowe uczą szacunku dla zawodników innych zrzeszeń. Nie powinno tu być miejsca na wąsko i niesłusznie rozumiany „patriotyzm”.

Przeciwnie, dumą AZS jest wychowanie takich zawodników, jak np. Ilwiczka, Kozłowska, czy Pindelski, którzy obecnie reprezentują barwy innych zrzeszeń. Na ich miejsce przyszły do AZS dziesiątki zdrowej, zapalanej młodzieży i troška trenerów i działaczy jest jej odpowiednie wyszkolenie.

Dane cyfrowe AZS potwierdzają słuszne ustawienie organizacyjne sportu studenckiego. Autor cytowanego listu nie wie zapewne, że Zrzeszenie — jego zdaniem bez perspektyw — liczy około 30.000 członków, w tym sportowców sklasyfikowanych — 9.200; że obecnie istnieje już ponad 600 sekcji sportowych i liczba ich stale wzrasta,

Zaletą takiego, a nie innego ustawienia sportu studenckiego jest fakt, że członkowie jednej grupy studenckiej, najbliżsi koledy i zawodnicy o równym stażu, walczą w obronie barw uczelni czy okręgu. Szlachetne współzawodnictwo sportowe cementuje studencką przy-

jaźń, uczy wytrwałości w dążeniu do celu.

AZS organizuje zawody i inne imprezy sportowe w czasie nie kolidującym z normalnymi zajęciami studenta oraz jest odpowiednikiem związków studentów — sportowców za granicą. Terminy niektórych imprez ogólnokrajowych rzeczywiście uniemożliwiają startowanie w nich „AZS-siakom”, dotyczy to jednak określonych dyscyplin sportu i trudno podać inne rozwiązanie jak polecenie tej sprawy (szczególnie sprawy terminów rozgrywek ligowych) sekcjom GKFF.

Pozostałe problemy (sprawy finansów AZS, budownictwa obiektów sportowych w tym Zrzeszeniu i niejasności istniejących wśród aktywu wielu uczelni co do współpracy AZS i Studium WF) wymagają solidnego omówienia na naszych łamach. Każde z nich stanowi zagadnienie odrębne i będzie przedmiotem następnych artykułów.

Cierpliwych czytelników i zwolenników AZS prosimy o „kibicowanie”.



„Czołowe pozycje w lekkiej atletyce świadczą o wysokim poziomie zawodników AZS...”

BUDZI SIĘ ŻYCIE

Do niedawna koło AZS przy Uniwersytecie Jagiellońskim nie przejawiało widocznej działalności. Poza sekcją koszykówki męskiej, która obecnie walczy w B klasie, żadna z sekcji nie mogła pościć się o osiągnięcia. Brak było nie tylko opieki trenerskiej, środków finansowych na sprzęt i stroje sportowe, ale także — i to przede wszystkim — braku zawodników.

Jednak ostatnio w Kole budzi się nowe życie. Wydatne pomocy udzieliło studium WF. W wyniku rekrutacji przeprowadzonej przez instruktorów WF do dnia 3 kwietnia br. do jedenastu organizowanych sekcji zgłosiło się ogółem 504 studentek i studentów. Koło AZS UJ organizuje następujące sekcje: piłka nożna, piłka ręczna, koszykówka męska, koszykówka żeńska, siatkówka męska, siatkówka żeńska, pływani, lekkoatletyka męska i żeńska, szermierka kobiet i mężczyzn, gimnastyka przyrządowa męska i sekcja turystyczna. Studium WF dalej trenerów do niektórych dyscyplin.

Dla propagandy sportu wśród studentów, Koło AZS przy UJ zorganizowało w kwietniu pokaz sportowy pod protektorem rektora prof. dr Teodora Marchewskiego. Na pokaz złożyły się:

1. Międzywydziałowe rozgrywki w siatkówkę żeńską i męską jako eliminacje do Spartakiady w Warszawie (w żeńskiej wyz. mat. fiz. chem. wygrał z AZS UJ 2:1, w męskiej wyz. prawa wygrał z AZS UJ 2:1).

2. Spotkanie w siatkówkę męską — asystenci z reprez. wyz. mat. fiz. chem. (wygrali asystenci).

3. Pokazy gimnastyczne.

4. Pokaz szermierczy (floret kobiet, floret mężczyzn, szabla mężczyzn) z obajaniem trenera dra Pappę.

5. Mecze koszykówki między reprezentacją UJ a AZS UJ (wynik 42:25). Ożywienie pracy Koła AZS ma związek z przygotowaniem do Festiwalu Młodzieży i Studentów w Warszawie oraz do uroczystości 50-lecia Uniwersytetu Jagiellońskiego w dniach 12–15 maja br.

EDMUND JONCA

PRZED SPARTAKIADĄ AZS

W br. w związku ze zbliżającym się V Festiwalem Młodzieży i Studentów oraz II MISM w Warszawie przygotowano do Spartakiady Uczelnianej w Politechnice Łódzkiej nabrany już dziś szerokiego rozmachu. Zgłoszenia do Spartakiady objęły rekordową ilość studentów. Do chwili obecnej dzięki dobrej propagandzie koła AZS i Studium WF zgłosiło swój udział 1290 studentek i studentów. Będą oni reprezentować swoje lata studiów w lekkiej atletyce, siatkówce, koszykówce, piłce ręcznej, piłce nożnej, pływaniu, tenisie stołowym i w strzelectwie. Rozgrywki w grach zespołowych rozpoczęły się 5 bm. na boisku PL.

Powołany przez ob. Rektora PL prof. M. Klimka Komitet Organizacyjny Spartakiady poczynił do chwili obecnej niezbędne przygotowania organizacyjne. Komitet ten, w skład którego weszli pracownicy nauki i studenci PL, ustalił program Spartakiady, na który składa się:

— Eliminacje w grach zespołowych (zakonczone do dnia 1 maja).

— Biegi Naradowe,

— Uroczyste rozpoczęcie Spartakiady w dniu 5 maja i zakończenie połączone z rozdaniem dyplomów, nagród i wieczorną tańcami.

Dzień 5 maja będzie świętem całej uczelni. W dniu tym nie odbędzie się zajęć programowych, a cała młodzież Politechniki zbierze się o godz. 8.30 przed Gmachem Chemii Spożywczej i w manifestacyjnym pochodzie przejdzie ulicami miasta na stadion „Włókniarza”, gdzie o godz. 10 nastąpi uroczyste otwarcie Spartakiady. Spartakiadę rozpocznie masowy pokaz gimnastyki z udziałem 100 dziewcząt i 100 chłopów, opracowany na przygotowany przez Studium WF. Po pokazie odbędzie się finały konkurencji lekkoatletycznych oraz finałowe mecze w piłce ręcznej, piłce nożnej, siatkówce i koszykówce.

W dniu tym wystąpią m. in. tacy zawodnicy jak siatkarze: Grochowski, Janczewski, Szumowski, Pabin, czołowi lekkoatleci: Polakowski, Gutowscy i Rybscy, Szulc, Wojtaszek oraz mistrz Polski w sprintach Antonowicz. Poważnym osiągnięciem — gdzie udział w Spartakiadzie sportowców LZS z Sulejowa, — którym AZS przy PL nawiązał współpracę.

W związku z wielkim zainteresowaniem, jakie wzbudziła Spartakiada w Politechnice Łódzkiej, zostana wydane pamiątkowe żetony dla uczestników.

GRZEGORZ ŻYŻYŃSKI

WSPÓŁPRACA LEKARZY ZE SPORTOWCAMI

W kwietniu br. przy Wojewódzkiej Centralnej Poradni Sportowej w Łodzi powstało Koło Miłośników Sportu rekrutujące się z młodzieży Akademii Medycznej. Dyrektor tejże poradni dr Skwarcewski, zapoznał uczestników z zadaniami i celem koła, którym jest przygotowanie do pracy lekarza sportowego.

Członkowie Koła Miłośników Sportu wzywając wszystkich studentów do podejmowania zobowiązań i-majowych sami zobowiązali się do:

1. Przeprowadzenia badań w ośrodkach sportowych i niesienia pomocy w zwalczaniu niedociągłości sanitarnych.

2. Pracy w ekipach lekarsko-sportowych na terenie naszego województwa.

3. Pracy przy imprezach ogólnosportowych.

4. Pomocy w pracy lekarzom Centralnej Wojewódzkiej Poradni Sportowej.

JAN BARANOWSKI